Rok IV. Lwów — czerwiec 1902. Nr. 6.

Promień

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wychodzi raz w miesiącu.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie K. 4.40, z przesyłką 4.60; kwartalnie K. 1.10, z przesyłką K. 1.15.— Numer pojedynczy 40 h., na prowincyi 42 h. — W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 4 marki. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 5 franków.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Ossolińskich l. 6.
Filia Administracyi: Kraków, ulica św. Gertrudy l. 7, III. piętro.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały." *Krasiński.*

STOSUNEK UCZNIÓW ŻYDÓW DO KÓŁEK UCZNIOWSKICH POLSKICH.

Od jednego z kolegów otrzymaliśmy list w kwestyi stosunku żydów do polaków z prośbą o wypowiedzenie się. Czynimy zadość tej prośbie i to tem chętniej, że wiemy, jak sprawa ta jest obecnie na czasie.

Podajemy zatem list, a potem swoje uwagi. Nie sądzimy bynajmniej, by one wyczerpywały kwestyę, owszem zdajemy sobie sprawę z tego, że dużo jeszcze trzeba będzie powiedzieć, dziś idzie nam tylko o zaznaczenie naszego zapatrywania na syonistów, oraz na tych żydów, którzy nie zrywając łączności ze swym narodem i stawiając na pierwszym planie pracę kulturalną nad masami ludowemi żydowskiemi, poczuwają się jednak do polskości. Sprawy demokratów żydowskich t. j. tych żydów, którzy nie poruszając kwestyi narodowościowej pracują wśród ludu żydowskiego nie omawiamy dziś, zastrzegając sobie głos na później.

* * *

Z pochodzenia żyd, nie odebrałem wychowania żydowskiego. Od czasu przeczytania pierwszych książek, od 1 normalnej, (nie przesadzam) od czasów uczenia się historyi polskiej, uczenia się

samodzielnego, to jest od 2 kl. normalnej, uważałem się za Polaka. Nieuświadomione uczucie miłości dla wszystkiego co polskie zaczęło na ławach gimnazyalnych przybierać cechy asymilatorskie. Był to okres, w którym nazywałem siebie Polakiem wyznania mojżeszowego i marzyłem o chwili, w której wszyscy żydzi w Polsce mieszkający za Polaków uważać się będą. W klasie IV. zaprzyjaźniłem się z pewnym kolegą, patryotą żydowskim, który począł mię fanatycznie żarliwie nawracać. Wyrzuty i zarzuty jego wzbudzały różne bolesne uczucia, refleksye, zamęt w głowie, gwałtowną pracę myśli: z jednej strony wyrzuty kol. żydów, z drugiej niezrozumienie kol. Polaków (wszak my wyrzucamy żydom, że nie są Polakami, a uważających się za Polaków wyśmiewamy) wszystko to napełniało niezmiernym choasem mózgownicę moją. Pierwej nazywałem się Poiakiem wyznania mojżeszowego, teraz straciwszy wiarę, co zrobić mam z tym fantem (bezwyznaniowy Polak wyznania mojżeszowego? Czy tak?)

Nakoniec przyszedłem do następującej konkluzyi. Uważam się za Polaka, i jako Polak muszę protestować przeciw temu świadomemu wynarodowieniu Żydów nawet przez żywioły najbardziej demokratyczne. Wynarodowenie to, czyli tworzenie takich anomalii jak Polaków wyznania mojżeszowego jest bezsensowne, bo nie prowadzi do żadnych rezultatów i jest wysoce nieetyczne. Jednostka ma prawo wybrać sobie narodowość, bo urodzenie w końcu nie stanowi o należeniu do narodowości. Człowiekowi, który nie dla celów materyalnych wybrał sobie naród inny za swój nie ma nikt prawa rzucić w twarz słowa: renegat. Ale narodu nikt nie wynarodowi, narodu żadnego. Tembardziej narodu, który przez wieków tyle odporność niebywałą okazał przeciw zakusom wszelkim. Czemuż więc mamy wyrzucać kolegom żydom, że nie są polakami?

Żyd polakiem być nie powinien, bo on ma swój naród, ma pracę olbrzymią około narodu własnego, nie powinien więc krwi najgorętszej innym narodom nieść w ofierze. Co zaś się tyczy należenia żydów do organizacyj naszych sądzę: żyd może należeć do organizacyi naszej o ile się to tyczy wyrobienia sobie przekonań społecznych. Ponieważ każda nasza organizacya ma za cel ostateczny „niepodległość ludową Polskę“ więc sądzę, że lepiej by było, aby utworzyła się organizacya żydowska uczniowska dla dobra żydów kolegów i dla jednolitości naszych Kołek.

Żyd narodowiec należący do ruchu wolnościowego syonistycznego będzie sympatyzował z polakiem walczącym o wolność i z pewnością nie będzie takich wytworów jak żyd zdrajca, gdy nie będziemy starali się przeszkadzać unaradawianiu się żydów. Nasze wrogi są jednakowe. My walczymy za ojczyznę naszą Polskę, oni za swoją Judeę. Wtedy ruch syonistyczny ma przed sobą drogę pełną trudów więc szczęścia i wytrwałości w pracy nad sobą i nad proletaryatem żydowskim im życzymy. *K. S.*

* *
*

Kwestye, poruszone przez kol. K. S., streścić się dadzą w sposób następujący:

1) Czy jednostka ma prawo wybrać sobie narodowość?

2) Czy polak wyznania mojżeszowego jest anomalią, czy nie?

3) Czy powinna istnieć osobna organizacya młodzieży szkolnej izraelickiej?

Pytania te nie wyczerpują bynajmniej kwestyi i żeby módz na nie odpowiedzieć, trzeba określić najprzód wyraźnie, jaki ma być stosunek nasz, t. j. polskiej młodzieży postępowej do ruchu narodowego żydowskiego wogóle, a do syonizmu w szczególności?

Jak czytelnicy nasi widzą, wkraczamy odrazu *in medias res* i włączamy syonizm do naszego rozpatrywania. Czynimy to dlatego, że uważamy syonizm tylko jako dalszą, ale konieczną konsekwencyę ruchu narodowego żydowskiego. Jest to rzecz zupełnie naturalna. Każda narodowość musi dążyć do tego, by zdobyć terytoryum, na którem by się mogła swobodnie rozwijać, ponieważ zaś nie podobna myśleć o zawładnięciu takiem terytoryum w Europie, a tradycya wiekowa wskazuje na Palestynę, więc myśli żydów patryotów muszą się tam zwracać. Syonizm jest zatem, powtarzając pierwsze lepsze określenie tego prądu:

„Odstąpieniem żydów na drogę jawnej polityki narodowej z celem założenia trwałego ogniska i jednolitej siedziby dla odrodzonego narodu żydowskiego w Palestynie“. (Jaki winien być stosunek żydów do polaków? Dr. A. Salz).

A teraz przejdźmy do rzeczy. Zacznijmy od tego, że nie możemy odmawiać żydom prawa do uważania się za żydów. Wszelkie powoływania się na ten niezaprzeczalny fakt, że w Polsce żydom było lepiej, niż gdziekolwiek, że gdy żydów w innych krajach palono, wieszano, ścinano, zmuszano torturami do wy-

rzeczenia się wiary, lub wypędzano z kraju i w ciągu całych stuleci nie tolerowano (jak np, w kulturalnej Anglii), wtenczas u nas żydzi cieszyli się przywilejem bolesławowskim, który zapewnił im normalny rozwój wewnętrzny i bronił ich od gwałtów i nadużyć, przypominanie tego, że u nas rozruchów antyżydowskich albo nie było, albo że one nie przybierały nigdy takich rozmiarów, jak np. w Rosyi — wszystko to nic nie pomoże, gdy się ma do czynienia z wewnętrznem przekonaniem szczególniej, jeśli ono opiera się na fakcie, który również jak powyższe nie da się zaprzeczyć, że ogromna większość żydów ma dotąd u nas bardzo mało cech wspólnych z ludnością chrześcijańską.

„Ależ każdy inteligentny żyd przyjmuje mowę polską, a z nią musi wchłonąć w siebie i naszą kulturę, nasze ideały, stać się zatem polakiem!“ — powiedzą nam.

Zapewne, że tak się dzieje — odpowiemy — choć i to nie zawsze (czego dowodem są syoniści), ale to nas tylko utwierdza w naszym poglądzie. Zdaniem naszem przez długie jeszcze pokolenia będziemy mieli wśród siebie znaczną i zwiększającą się ciągle przyrostem z dołu ilość żydów-polaków, t. j. ludzi, którzy poczuwają się do obu narodowości. Różnica między żydem polakiem, a polakiem z pochodzenia zniknie dopiero wtedy, gdy się przekształcą radykalnie dzisiejsze stosunki społeczne, a cechy specyficzne, charakteryzujące dziś żydów, znikną same przez się, oraz gdy religia przestanie grać dzisiejszą rolę w życiu społecznem i stanie się tylko wewnętrznem wierzeniem człowieka, jego filozoficznym poglądem na świat. Ale do tego daleko. Dziś mamy całą masę żydów, którzy przyznają się do naszej narodowości, a jednocześnie mają bardzo silne poczucie łączności ze swymi współwyznawcami (nawet, jeżeli ci żydzi są bezwyznaniowymi). To jest fakt konkretny i z niego powinniśmy wysnuwać dalsze wnioski. Nie jest on wcale taką anomalią, jakby to się na rzut oka wydawać mogło. Wszystkie narody, w skład których wchodzą różne elementy, doświadczają tego samego i godzą się z tem. Francya ma swoich bretonów-francuzów, alzatczyków-francuzów, Rosya niemców-rosyan, wreszcie i my znamy przecie ormian-polaków, tatarów-polaków, nawet litwinów-polaków, którzy wszyscy, choć może w mniejszym stopniu od żydów, poczuwają się do wspólności ze swymi „ściślejszymi rodakami“, nie przestając być przez to polakami.

Stojąc na tym gruncie, możemy nietylko tolerować, ale nawet otaczać sympatyą dążenia żyda do zajmowania się przedewszystkiem swymi współplemieńcami, do podnoszenia wśród nich oświaty, kultury, dobrobytu, byle by cel ten nie był osiągany z uszczerbkiem ludności chrześcijańskiej i byleby żyd, uważający siebie za polaka, przyczyniał się jednocześnie do ziszczenia naszego wspólnego celu, który kol. K. S. wam określa, jako „niepodległą Polskę ludową“.

Ale — powiedzą nam z innej strony — dlaczegoż nie mamy sympatyzować z dążeniami tych żydów, którzy wcale siebie nie uważają za polaków, a dążą do wskrzeszenia narodowości żydowskiej, z żydami-narodowcami, z syonistami?

Tu przedewszystkiem musimy zrobić małe zastrzeżenie. Jakkolwiek nie popieramy żydów narodowców, co postaramy się uzasadnić niżej, jednak nie uważamy bynajmniej, by nie należało ich tolerować między nami. To, cośmy powiedzieli w poprzednim numerze o stosunku polaków do ukraińców, tyczy się również nas i żydów. Jeżeli zatem nie żądamy od rusina, który chce z nami pracować, by się wyrzekł swej narodowości, to tak samo musimy się zachowywać względem żyda.

Ale wróćmy do rzeczy. Otóż nie możemy popierać syonizmu, a nawet powinniśmy go zwalczać (oczywiście tylko drogą perswazyi) przedewszystkiem dlatego, że kierunek ten nic nie daje ludowi żydowskiemu. Jeżeli nawet przypuścić, że proletaryusz żydowski będzie się miał w Palestynie lepiej, niż w Galicyi lub Królestwie, to cóż z tego, kiedy ona dziś jest w ręku tureckim, a zabranie dziesiątków miliardów reńskich (gdyż tyle by potrzeba dla zapewnienia jakiego takiego dobrobytu 7 milionom żydów, którzy dziś zaludniają Polskę, Litwę, Ukrainę, Rosyę i Rumunię) tak prędko nie nastąpi. I gdy się spojrzy na te masy nędzarzy żydowskich, których położenie nie da się porównać z losem ludności chrześcijańskiej, gdy się oceni ten ogrom biedy, ciemnoty i ucisku, który stanowi dziś chleb powszedni, miliony żydów w Galicyi i w zaborze rosyjskim, poniżenie i pogardę, które je otaczają, brak najbardziej podstawowych praw ludzkich i obywatelskich, to zaiste trzeba przyjść do przekonania, że obiecywanie tym ludziom raju w Palestynie z pozostawieniem bez zmiany ich dzisiejszego losu, jest czemś w rodzaju biletów kolejowych do nieba, które jezuici sprzedają dewotkom.

Tymczasem syonizm musi odwracać umysły żydów od pracy nad zmianą stosunków w krajach, które oni obecnie zaludniają. Istnieją co prawda między syonistami ludzie, (np. Dr. Goldfarb, autor broszury o syonizmie), którzy utrzymują, że syonizm jest identyczny z socyalizmem, ale ci łudzą tylko siebie i innych. Gdybyśmy np. dzisiaj postawili sobie za ideał wywędrowanie z monarchii austryackiej i przeniesienie się do jakiejś urojonej Sarmacyi, która stanowiła ongiś naszą ojczyznę, to rzecz oczywista, iż nie moglibyśmy jednocześnie wytężać naszej energii na zdobycie powszechnego głosowania, rozszerzenia praw autonomicznych Galicyi lub zniesienia arcynarodowych i reakcyjnych dążeń, panujących w c. k. Radzie szkolnej. To samo dzieje się z syonistami. Ziszczenie celu, do którego oni dążą, wymaga takiego napięcia energii, że musi on odwracać umysły od zadań dnia dzisiejszego i pomimo woli przyczynia się do utrudzenia dzisiejszych rozpaczliwych stosunków, tembardziej, że gdyby się ludowi żydowskiemu zdobyć w Galicyi udało normalne warunki bytu, tak jak mybyśmy tego pragnęli dla naszego ludu, to prawdopodobnie wtedy propaganda syonizmu nie cieszyłaby się najmniejszem powodzeniem!

Ale przejdźmy do innego zagadnienia, mianowicie, czy ta Palestyna, którą syoniści obiecują żydom, będzie dla ludu rzeczywiście takim rajem? Otóż pod tym względem polecamy każdemu przeczytanie broszurki uznanego wodza syonizmu, doktora Herzla „Der Judenstaat“ (Państwo żydowskie). Okazuje się, że ta ziemia obiecana ma być rajem, ale tylko dla bogaczów żydowskich. Robotnicy nie mają tam być płaceni w gotówce, gdyż mogliby źle użyć pieniędzy, tylko karmieni i odziewani. Swoboda zgromadzania się i stowarzyszania nie będzie tam istnieć, gdyż państwo żydowskie obejdzie się bez „mielenia językiem“. Jednem słowem będą tam po prostu istniały stosunki pańszczyźniane, a proletaryatowi nie pozostanie nic oprócz... pracy i modlenia się. No, tę przyjemność może on znaleźć i w Czortkowie.

* *
*

A gdyby nawet przypuścić, iż poglądy wyżej wyłuszczone stanowią indywidualny pomysł p. Herzla, co swoją drogą źle by się godziło z czcią entuzyastyczną, jaką wszyscy syoniści otaczają tego człowieka, to z góry można przewidzieć, że państwo pale-

styńskie pod względem społecznym nie dużo da ludowi. Nie ma ono bowiem być zdobyte przez proletaryuszy żydowskich, którzy później nie daliby sobie wydrzeć swych praw, a orężem, który ma spłoszyć hordy arabów, rozpinających dziś swe namioty na gruzach świętego Syonu, nie będzie bagnet powstającego ludu, ale kuban, wciśnięty do ręki baszy tureckiego, lub pożyczka, udzielona zadłużonym protektorom syonizmu — cesarzowi Wilhelmowi i carowi rosyjskiemu. A jeszcze nam historya nie pokazała takiego przykładu, żeby bogacze wyrzekali się na korzyść ludu swych przywilejów.

Mogą mu oni rzucić jałmużnę, ale praw politycznych nie dadzą nigdy. W dodatku, ponieważ Palestyna ma być zdobyta drogą matactw dyplomatycznych, więc wszelki, bardziej radykalny odcień ruchu syonistycznego mógłby mu tylko zaszkodzić, dlatego też syonizm i radykalny ruch ludowy tak się wykluczają, jak ongiś żebranie przez naszą Czartoryszczyznę interwencyi na korzyść Polski u dworów obcych a demokracya.

Syonizm z natury rzeczy musi dążyć do złączenia w jedną całość narodu żydowskiego, zatem do zatarcia różnic, które istnieją między interesami poszczególnych klas u żydów, tak samo, jak i u chrześcijan. Ideałem jego jest skupienie w jednej organizacyi żyda fabrykanta zapałek z jego robotnikami, którym oczy świecą się od gorączki, a szczęki spruchniały pod wpływem wyziewów fosforu. O ile tendencya taka wroga jest wszelkiej myśli postępowej, to wiemy z własnego doświadczenia.

Same przestanki, na których zbudowana została teorja syonizmu, są z gruntu antyspołeczne. Jak antysemita jest przeświadczony, iż każdy żyd jest gałganem, którego nic (oprócz chyba stosu) poprawić nie zdoła, tak samo syonista wychodzi z założenia, że chrześcijanie nigdy nie mogą oddać żydom sprawiedliwości, iż za tem ci ostatni powinni się od nich najzupełniej odseparować.

Jednym ze smutnych wyników syonizmu jest powrót do formułek rytoalistycznych inteligencyi syonistycznej. Jeżeli nie możemy brać za złe żydowi niewykształconemu, iż wyrzuca za okno talerz mięsa, do którego wpadła kropla mleka, to cóż powiedzieć o takim kongresie syonistycznym, składającym się z dziennikarzy, uczonych polityków itp., ludzi po większej części wręcz nie wierzących, którzy z całą powagą nakrywają głowy kapeluszami, zasiadając do wspólnej narady! Jesto obłuda, której jedynym wyni-

kiem może być wzmocnienie stanowiska żydowskiego starszyzny duchownej, tej przeciwniczki zaciętej wszelkiego postępu.

Innym objawem spaczenia myśli pod wpływem syonizmu, jest także wysłanie telegramu do cara z wyrazami uznania za jego miłość pokoju przez kongres syonistów. Temu carowi, ociekającemu krwią żydowską, który setki tysięcy rodzin żydowskich wtrącił w przepaść nędzy i hańby, a pięciu milionom żydom będącym pod jego knutem, odmawia prawa istnienia, żydzi ślą hołdy w zaślepieniu, iż przybliżą przez to chwilę odzyskania Palestyny! Pomijając już stronę moralną takiego postępku, jaki zamęt on musi sprawić w głowach i jak szkodliwie odbija się na walce, którą lud żydowski powinien prowadzić z caratem o swe prawa.

Jednem słowem, dążenia syonistów nie mają nic wspólnego z prawdziwymi interesami ludu żydowskiego, a młodzież, przynajmniej ta jej część, która pracę swą i życie chce nieść w ofierze sprawie ludowej, nie może przychylnie się do nich odnosić. I nie potrzebujemy się obawiać tej napływającej fali syonizmu. Tak samo, jak nie wszyscy chrześcijanie są antysemitami, tak też nie wszyscy żydzi są i będą syonistami. Życie silniejszem jest od doktryny. Każdy wzrost kultury wśród ludności naszej musi odbijać się na żydach, łączyć ich tysiącznymi więzy z nami. A każda zdobycz, osiągnięta przez działaczy na polu społecznem wśród żydów, każdy dodatkowy gólden zarobku proletaryusza żydowskiego, godzina pracy, urwana od jego mozołu, każde rozszerzenie praw politycznych ludności najbiedniejszej, każda nowa robota — to są środki, które z siłą żywiołową będą wciągały żydów w wir kultury chrześcijańskiej, narzucały im język polski, a z językiem i ideały nasze. Walka o prawa ludu w kraju naszym jest jednocześnie walką o spółczucie żydów i kto jedno prowadzi, ten pomimowoli przyczynia się do drugiego, ten zatem i w poglądach swoich musi być w zgodzie z uczynkami.

Syonizm wywołany dziś przez wzrost antysemityzmu, jest ruchem tak samo przejściowym, jak i ten ostatni. Jak antysemici, którzy szukają w „zjadanie żyda“ wyjścia z nędzy i, nie znalazłszy go, przechodzą po pewnym czasie do bardziej zdrowych poglądów społecznych, tak samo i syoniści przestanągonić za złudną marą raju palestyńskiego, gdy się przekonają, iż szczęście jest tu, obok nich, tylko trzeba umieć je zdobyć. Chwilowe powodzenia syonistów między żydami nie powinny nas pod tym względem

zrażać, a wytyczną naszą powinna zawsze pozostawać praca dla ludu tak polskiego, jak żydowskiego i dążenia do skupienia jaknajwiększej ilości ludu około sztandaru, który nosi napis: Wolna Polska Ludowa. To jest hasło, które powinno przyświecać każdemu, kto ziemię naszą zamieszkuje, czy jest chrześcijaninem, żydem, bezwyznaniowym, czy mahometaninem.

Teraz możemy z łatwością odpowiedzieć na pytania, które postawione zostały przez kol. K. S.

Uznajemy najzupełniej prawo żydów do poczuwania się za żydów, ale dążeń narodowych żydowskich nie możemy uważać za zgodne z rozwojem społecznym, który odbywa się na naszych oczach i z interesami samego ludu żydowskiego. Uważam za objaw zupełnie naturalny istnienia w coraz większej ilości polaków-żydów, możemy porzucić wyrażenie „polak wyznania mojżeszowego“, które miało racyę bytu, gdy nie istnieli bezwyznaniowcy, a dla wierzących i dziś mogłoby znaleść zastosowanie, gdyby nie było tak ośmierzone. Zaś zachęcać do tworzenia odrębnych żydowskich organizacyi młodzieży szkolnej nie będziemy, owszem uważamy łączenie się żydów i chrześcijan za rzecz bardzo pożyteczną.

JAKI POGLĄD NA ŚWIAT DAJE ZASADA ROZPRASZANIA ENERGII?

Cała natura jest niezgłębionym oceanem pracy. Człowiek śledząc tylko najbliższe swe otoczenie, widzi niesłychaną różnorodność zjawisk, przed których majestatem musi się korzyć. Przyroda nie odpoczywa ani chwilę, lecz ciągle tworzy, ciągle niszczy i niweczy. Czy wszystkie te zjawiska odbywają się według pewnych niezmiennych praw? Czy potrafimy kierować według naszej woli naturą, zwalniać lub przyśpieszać jej bieg? Czy owe szalone życie natury będzie trwało wiecznie, bez końca? Czy też nadejdzie może chwila, w której natura ucichnie, ułoży się do snu?.... Na wszystkie te pytania odpowie nam zasada rozpraszania energii.

Zasada zachowania energii jest genialną, jest prawdziwym tryumfem rozumu ludzkiego; jeśli ją jednak dokładnie zbadamy, przekonamy się, że ona nie wystarcza do wytłómaczenia niektórych bardzo prostych zjawisk, że chwyta tylko jedną cechę natury, że „obejmuje ją niejako za luźno“. Prawda, że zjawisko, które zasadę zachowania energii odrzuca, nigdy i nigdzie odbyć się nie może, pozwala jednak i na takie zjawiska, które nigdy nie przychodzą do skutku i są nawet wprost przeciwne porządkowi natury. Wyobraźmy sobie jakiś idealny świat, w którymby tylko panowała zasada zachowania energii. W takim świecie wrząca woda wystawiona w gorącym dniu lipcowym na działanie promieni słonecznych mogłaby zamarznąć, byleby tylko słońce się silniej ogrzało. W takim świecie kamień rzucony z wysokiej wieży mógłby się wznosić do góry i najdziwniejsze przytem wywracać koziołki, gdyby tylko jego energia potencyalna była spłaconą jakimkolwiek równoważnikiem, gdyby np. kamień wznosząc się stawał się coraz zimniejszym. Nie byłoby dalej w sprzeczności z zasadą zachowania energii, by ciepło zamiast rozpraszać się i uciekać ku zimniejszemu otoczeniu, gromadziło się w ciałach ciepłych i tworzyło dla nas źródło energii. W owym szczęśliwym świecie nie potrzebowalibyśmy opalać motorów cieplnych kosztownym materyałem opałowym, lecz moglibyśmy je pędzić ciepłem, branem wprost z otoczenia. Wiemy wszyscy, że się podobne rzeczy na naszym padole nie dzieją, czujemy, że są niemożliwe. Szukajmy tedy prawa, które nam „uzupełni“ zasadę zachowania energii. Prawem tem jest druga zasada termodynamiczna, zwana także zasadą rozpraszania energii, którą można wypowiedzieć w następujący sposób: Przy zamianie energii mechanicznej na cieplną cała energia mechaniczna zamienia się na ciepło; ilekroć razy zaś zamieniamy energię cieplną na dynamiczną, to tylko bardzo mała część energii cieplnej przechodzi w energię dynamiczną, a reszta ciepła rozprasza się w powietrzu. Ciepło można tylko wtedy zamienić na inną formę energii, gdy źródło dostarczające ciepła, posiada temperaturę wyższą od najzimniejszego ciała w otoczeniu.

Zasada rozpraszania energii daje nam bardzo ciekawy pogląd na świat. Ona nas uczy, że zapasy ciepła same przez się nie mają dla nas żadnej wartości ekonomicznej, że one stają się dopiero wówczas użytecznymi, gdy rozporządzamy znaczną różnicą

temperatur. Podobnie energia nagromadzona w gazie zgęszczonym nabywa dopiero wówczas wartości, gdy rozporządzamy różnicą ciśnień. Nie same zapasy energii są tedy przedstawicielami wartości ekonomicznej, lecz raczej owe warunki zewnętrzne, które nadają energii zdolność do przemiany na pracę. Zdobycie zaś tych warunków stanowi walkę człowieka z przyrodą o byt. Całe nasze życie polega na sztucznem tworzeniu różnic temperatury i ciśnień, bo tylko wtedy może być wogóle mowa o życiu. Tymczasem natura jest dla nas okrutną, gardzi nami, lekceważy nas, bo dąży ciągle do tego, by nas pozbawić warunków korzystnych, nadających wartość energii by równoważyć różnice temperatur i ciśnień. Wszelkie rodzaje energii zamieniają się stopniowo na ciepło o niskiej temperaturze, które nie ma dla nas żadnej wartości, bo nie można z niego korzystać. Każdy ruch spotyka opory, które go stopniowo niszczą i zamieniają na ciepło, wszelkie promieniowanie ulega absorbcyi i zamienia się na energię cieplną, to samo dotyczy energii chemicznej, magnetycznej, elektrycznej, a nawet fal głosowych.

Przypatrzmy się naszemu otoczeniu. Słońce zżółkło, księżyc zamarzł, ziemia okryła się próchnem, skały wywietrzały, zwyżki ciśnień i temperatur dążą do wyrównania się — wszędzie grozi śmierć i martwota. Natura nie znosi sztucznych układów, które przedstawiają wielkie nagromadzenie zapasów energii. Ona dąży do pierwotnego chaosu i dlatego cały jej postęp odbywa się w jednym nieszczęśliwym dla nas kierunku, w kierunku upośledzenia zapasów energii. Wszelkie formy energii zamięniają się powoli na ciepło o nizkiej temperaturze, a my nie mamy sposobu, byśmy rozproszone ciepło mogli niejako ,,schwycić" i przywrócić mu wśród tych samych warunków pierwotną użyteczność. Wszystko co się dzieje w przyrodzie, dzieje się w sposób nieodwracalny; istnieją bowiem pewne bodźce, które pędzą zjawiska naprzód i nie pozwalają im wracać się. Co się stało, to nie odstanie się już nigdy i dlatego świat dąży ciągle naprzód i nie wróci już nigdy do tego stanu, w którym się obecnie znajduje. My musimy natomiast pracować w pocie czoła, a cała nasza praca polega właśnie na hamowaniu biegu natury. Musimy sobie sztucznie tworzyć różnice temperatur i ciśnień, musimy się starać wszelkiemi siłami o stworzenie sztucznych układów, któreby były ,,magazynem" energii użytecznej. I to jest celem naszych kas,

bibliotek, archiwów, arsenałów, muzeów, domów i spichlerzy i. t. d.

Lecz niestety zdobycie korzystnych warunków do życia kosztuje nas bardzo drogo. Każde małe zwycięstwo opłacamy bardzo cenną energią mechaniczną, tak, że jesteśmy podobni do bogacza, który w klęsce głodowej płaci złotem za spleśniały chleb. Każda świeca rozpraszająca w nocy ciemność, każdy bochenek chleba, każda szata, każda książka, każde pióro — wogóle wszystko, co w życiu ludzkości uważa się za cenne i pożyteczne, kosztuje nas niezmiernie wiele pracy. Opał naszych mieszkań jest znowu połączony z utratą cennej energii chemicznej węgla i z zamianą jej na ciepło o nizkiej stosunkowo temperaturze, z którego nie mamy potem żadnego pożytku. Słowem — jest to wprost ironia losu, że nietylko natura sama dąży do wyrównania temperatur, lecz my musimy jej nadto pomagać w dziele niszczenia, bo każda nasza praca przyczynia się równocześnie do rozpraszania znacznej ilości cennej energii.

Drogo opłacamy małe zwycięstwa nad przyrodą. Lecz czy zwycięstwo to jest przynajmniej trwałem? Nie. Walka nasza z przyrodą, to walka liścia z wichrem jesiennym. Póki różne potęgi równoważą się w wielkiej pracowni niszczenia, cicho i spokojnie w naturze i zdaje się nam, żeśmy przecież silni i szczęśliwi, żeśmy panami natury, bo możemy je hamować i korzystać nawet z oceanu jej pracy. Biada nam jednak, gdy te potęgi zerwą wzajemne przymierze, gdy się zbuntują przeciw nam, gdy każda z nich skupi siły swoje i wystąpi do walki z nami. Rozpoczyna się krwawa wojna na zabój i pasowanie na wytępienie. Płyny niewiadome ściskają się w olbrzymie obłoki, elektryczność znajdująca się w atmosferze zagrzmi, zajaśnieje tak silnie, że całe niebo stanie w płomieniach; potęgi podziemne szarpią się, rozsadzą skorupę ziemską i wyleją rzeką ogni płynnych, które niszczą miasta i kraje. Czasem znowu elementy zatrzęsą posadą ziemską i w jednej chwili zamienia się wszystko w gruzy. Człowiek pracuje, wznosi wspaniałe gmachy i budowle, prawdziwe arcydzieła sztuki, aż tu nagle powstaje trzęsienie ziemi, które niszczy owoc jego długoletniej pracy. Słowem — każdy pożar domu, każde zawalenie mostu, każdy wybuch wulkanu, każde trzęsienie ziemi, każdy grzmot, każdy piorun, to protest przyrody, to wskazówka, że ona nie ustaje pracować nad naszą zgubą.

Skoro już wiemy, że świat postępuje ciągle naprzód, że wszystkie siły zabijają się same, zapytajmy się jeszcze, jak długo walka ta trwać może. Wiadomo jest, że słońce jest owem jedynem źródłem energii, któremu wszystkie istoty zawdzięczają byt. Zanim zaś słońce zgaśnie, zanim świat przyjdzie do równowagi, upłyną jeszcze miliony lat. Dla natury nie jest to jednak wcale bardzo odległa przestrzeń czasu. Stare naczynie assyryjskie, stara mumia egipska, stara szabla rzymska budzą w nas uczucie bardzo odległej starożytności; tymczasem od chwili oziębienia się ziemi upłynęło już około 350 milionów lat, a ile lat ziemia była płynną kulą?.... Dzieje ludzkie są tylko małą falą w oceanie czasu; bądźmy przekonani, że nadejdzie chwila, w której ustanie wszelki ruch, ustaną wszelkie zjawiska fizyczne, ustanie życie zwierząt, roślin i ludzi, — słowem — świat będzie martwy i nieruchomy.

Kraków, w maju 1902.

Dr. Addio.

»WSPÓŁCZESNY CZARODZIEJ«*).

(Dokończenie).

Duch ludzki ma to do siebie, że w swym pochodzie rozwojowym zawadza bezustannie o świat zewnętrzny, nim się z konieczności zajmuje bądźto w zakresie czysto podmiotowym, bądźto docierając do przedmiotowej jego treści: tu rodzi się filozofia, tu kolebka pojęć o zjednoczonym obszarze objawów na nas działających, tu wyjście z większą lub mniejszą stanowczością z labiryntu całych szeregów zagadnień witalnych — i dalej, że z zagadnień albo ma wyjście bezpośrednie, a wtedy rozwikłanie pytania będzie tylko wytworem biernym przyrodzonych i nabytych czynników życia umysłowego, albo wyjście pośrednie, przyczem sformułowana odpowiedź jest produkiem samodzielnej myśli danego podmotu, myśli rozpatrującej z większym lub mniejszym zasobem krytycyzmu materyały bezpośredniego poglądu. W pierwszy sposób formułują pojęcia ludzie w ogóle myślący, drugi zaś sposób two-

*) Leopold Staff: Mistrz Twardowski — pięć pieśni o czynie.

rzenia myśli samodzielnej i badawczej jest własnością myślicieli wyjątkowych, niezadawalniających się obserwacyami bezpośredniemi, przedstawiającemi się nam tylko w zwykłym zmysłowym poglądzie na otoczenie, o czem świadczy najlepiej kalejdoskop filozoficznych na świat i życie poglądów. Ten naiwny, bezpośredni zmysłowy sposób obserwacyi narzuca się mimo woli z cechą prawdy przedmiotowej i usunąć się nie da, mimo przekonanie, że w swej istotnej treści jest złudzeniem i nie odpowiada przedmiotowej wartości; mimo negacyi pojęciowej i bezwzględnego sceptycyzmu opieramy się na tego rodzaju badaniach, choć nie są ani wszechstronnie pełne ani jedyne i skończone.

Ulega im p. Staff, ale często wylatuje po za zewnętrzną powłokę zmysłowości, podtrzymywany siłą myśli samodzielnej. To, że każe „mistrzowi“ otworzyć oczy na bezpośrednie swe otoczenie, że każe mu je brać takiem, jakiem ono jest, a przy tem czuć i dociekać swej własnej treści duchowej, odmiennej, istotnie nadzmysłowej, to, że każe mu złączyć się czuciem z całym tak ujemnie pojętym światem i tak dalekim od jego własnego życia duchowego, wreszcie to, że nie modyfikuje świata pierwotnego i mimo to wnosi swój własny czynnik nadzmysłowy — to na stwierdzenie słów wyżej wypowiedzianych.

Czarodziej wieków minionych bawił nas. Z tej bajki starej dziś mamy twór, który nas zajmuje i każe nam czuć i myśleć w pierwotnych granicach światopoglądu. Mistrz Twardowski to jeszcze ten stary człowiek, przechodzący co chwila przez piekielne katusze duchowej ewolucyi, do czynu się rwący a do czynu niezdolny, ciągle ulegający przemożnemu wpływowi milionowych zewnętrznych czynników — i stąd objawiający stałą niezgodność między chceniem a rezultatem napiętej woli; stąd naprzemian porywy, dreszcze, bezkreśne loty wyobraźni obok bezsilnego bolu, senności, znużenia psychy i mózgu i peryodycznie się powtarzającej reakcyi życiowej. Duch zmęczony ciągłem gonieniem, wiecznie spragniony i głęboko wierzący, zdobywa drogi prawdy sposobem apriorycznym, dobywa wszystkich sił, by na nie wstąpić i pójść do kresu, lecz tasama wiara gwałtowna w własną siłę mści się za nieudolność swoją, co niedopatrzyła się rozbratu między przyczyną a podstawą w prawdzie. Wyczucie własnej siły, usprawiedliwionej boleści, sprowadzającej mniej lub więcej określone postulaty na przyszłość, zgodność ich z pierwotną dumką —

to momenty znane, widoczne, ale przez sam podmiot niezanalizowane i niedoprowadzone do względnej chociaż zgodności z rzeczywistością i dlatego zostały tylko marzeniem, fatasmagoryą bez najlżejszego nawet objęcia chaotycznej i nieskończonej mnogości zjawisk. Niedość dać się porwać i uledz związkowi wewnętrznych choćby mistycznie zgodnych zjawisk, niedość uledz ich kategorycznemu rozkazowi — koniecznością w tym wypadku byłoby zrozumienie i poznanie napięcia momentów obserwowanych. Bez nich mistrz jest silny, potężny lecz nieudolny, potrafi uledz chęci poświęcenia się czynowi, ale do czynu prowadził go tylko duch, więc czynu się chwycić nie może.

Dająca się zaobserwować głęboka sprzeczność między całą strukturą duchową mistrza, jego porywami i wiarą z jednej strony, a z drugiej nieustanna, ta zwykła, najzwyklejsza i najpłytsza niemoc tuż na samym progu Czynu, oto wszystkie niemal epiteta, któremi cechują się wszystkie postacie dzisiejszego dnia, w których jedna siła rozwija się kosztem siły drugiej i bezsiła nad mocą tryumfy święci mimo otuchy i wiary podmiotu w zwycięstwo. Tasama nieudolność objawia się aż nazbyt silnie w dziwnej wybujałości obrazów. Nieudolność otoczenia w rozpoznawaniu faktycznego stanu istnienia, jego zwracanie się ku nadziemskim wyżynom, by stamtąd zaczerpnąć wyjaśnienia gnębiących wątpliwości, uciekanie się do sił nieba i piekła po rozwiązanie, daje jeszcze jeden obraz ciekawego samopoznania poety, oddającego tego rodzaju odkrycia nie tyle w obcej ile w duszy własnej, bo na trwogę przed istotnym czynem dzwoniło w jego własnej duszy.

Wytężam wszystkie me czucia w czekanie
Zjawy, co błyśnie światłem niezmierzonej
Jaśni i zbawczem słowem mi się stanie.
Wiarą w niebiosa święte wydźwigniony
Stoję tęsknotą pośród gwiazd daleki —
Wyciągniętemi ku górze ramiony:
Pożądam znaku niebieskiej opieki...

A jakiż jest sam czyn w swej istocie? Zna go mistrz? Nie. Zawsze to tylko niedojrzały owoc czułej duszy, zawsze tylko z trwogą odczuwana potrzeba czegoś, co wyjście wskazuje z nad zawrotnej przepaści, zawsze to tylko ostatniemi siłami dobyty krzyk ginącego życia, śmiertelne wołanie targających się strun duszy człowieka, który krzyczy i krzyczeć musi, bo czuje dławiący strach życia i niemożność samoobrony.

To szamotanie się z rozpaczą to tylko straszne i dziwne podrzuty młodej duszy, trawionej rządzą poznania, o odwiecznej i bolesnej tęsknocie bytu, duszy co w coraz większem rozpętaniu dźwięczy i dźwięczy silnie, ale zawsze na jeden i tensam sposób, rytmiczny i śpiewny, czarujący — ale nie szczery. Stare miano: „ból istnienia“ przodowało zawsze i wszędzie tam, gdzie wrzała zaciekła, krwawa walka o poznanie, ale rozbrzmiewało z życiem poprzez wszystkie formy, pnąc się przez tamy ciemności ku górze i nie zamierało nigdy na sam widok nocy czarnej, miało bowiem prawdziwe, szczere błyski rozstapiające nieprzełamane mgły i zatęchłe opary, błyski te, dla których nie istnieją ni kresy ni granice.

Tylko mistrz Twardowski nie mogąc się wśród walki na czyn zdobyć, odchodzi w zacisze wołając:

Więc odchodzę od Ciebie dawny stary Boże!
— — — — — — — — — — —
Samemu sobie zdany, dziś sam siebie tworzę!

Edmund Borecki.

„SZKODLIWA KRYTYKA“.

Artykuł pod tym tytułem zamieszczony w majowym numerze „Muzeum“ i — rzecz oczywista — przedrukowany przez „Czas“, powoduje nas do udzielenia kilku wyjaśnień, które nie będą miały — zastrzegamy sobie to z góry — pretensyi trafienia do twardych konserwatywnych głów.

Artykuł „Muzeum“ skierowany jest tym razem przeciw „Słowu polskiemu“, które w dodatku pedagogicznym z 14. IV. pomieściło „Listy rodziców“, dla galicyjskich, a zwłaszcza lwowskich pedagogów mocno niepochlebne.

Owóż pan od wstępnych artykułów „Czasu“ nie trawił drogiego czasu na czytanie „Szkolnej krytyki“ tylko ozdobiwszy ją kilku obelgami na „Promień“ i „Tekę“, przedrukował w całości.

Przechodzimy do porządku nad biadaniem chorego na manię prześladowczą „Czasu“, któremu za dzwonienie na trwogę przed „Czerwonem widmem“ sowite przypada podzwonne, a przechodzimy do „fachowego“ artykułu Muzeum.

Żyjemy w takich brzydkich czasach, że każdy czyn, każde słowo, każda myśl jest badana, rozważana, krytykowana. Krytykują różni różnie i różne krytyk są odmiany. Są krytyki „zbawienne“, są „policyjne“... są wreszcie „szkodliwe“ i różne inne. Jedna rzecz tylko jest sporna: kto może krytykować fachowo, a kto do krytyki nie jest powołany. Istniejące granice fachowości są nader elastyczne, stosownie do wypadków i osób, o które chodzi. I tak: fachową była krytyka krakowskich dewotek w rzeczach sztuki, nie odmawiano fachowości burmistrzowi z Łyśca, istnieją powagi w „fachowości“ takie, jak pan Flach, pan Krechowiecki krytykuje także „fachowo“ — a zarzucił im kto kiedy niekompetencyę, niefachowość? — nie!

Pewnego razu, pewien ojciec, którego synowi stała się w szkole krzywda, napisał artykuł do „Słowa“, oddając pod sąd opinii publicznej to, co się w szkołach średnich dzieje. „Muzeum“ reagując na to, oświadcza, że ojciec ów nie miał prawa krytykować postępowania profesorów, bo: 1. nie wszyscy profesorowie są nieuczciwi i niesprawiedliwi i niepedagogiczni;

2. zamiast robić hałas w pismach, można się było odnieść ze skargą do Władzy, która winnych z pewnością do odpowiedzialności pociągnie;

3. pan ten nie miał prawa krytykować profesorów, bo jest... niefachowy.

Najskuteczniejszym kontra-argumentem na „fachowe wywody „Muzeum“ jest istotny stan rzeczy.

W zasadzie nikt nie ma prawa robić zarzutów całemu stanowi nauczycielskiemu, ale powinno się wystąpić przeciwko całemu systemowi szkolnemu i tym profesorom, którzy działają po myśli tego systemu z przeświadczeniem, że on odpowiada potrzebom społeczeństwa, gdyż na podstawie zebranych doświadczeń, na podstawie wyników pracy według tego systemu podjętej, można z całą stanowczością stwierdzić, że praca długich lat idzie na marne, że szkoła średnia w obecnym swoim stanie prócz gramatycznych formułek i poszarpanych okruchów różnych gałęzi wiedzy uczniowi nic nie daje, owszem zabija w nim samodzielność, wyplenia wszelkie cechy indywidualne.

Nauczanie stało się czynnością urzędową, szkoła urzędem do którego obcym wstęp wzbroniony, społeczeństwo apatyczne nie chce i nie może przeprowadzić swej kontroli nad szkołą, która przecież w istocie swojej jest instytucyą społeczną.

Wiadomo, że profesorem szkoły średniej nie zostanie żaden wolnomyślniejszy człowiek, wiadomo, że między profesorami wszystkich galicyjskich szkół srednich zaledwie 3 do 5 procent znajdzie się ludzi wychodzących po za ciemne ramki zakreślone programem szkolnym, wiadomo, że za złe, wypływające z ducha systemu szkolnego, Władze nie pociągną do odpowiedzialności swego funkcyonaryusza. A jeśli to złe płynie czasem z osobistych wad pedagoga, to trudno dochodzić na nim sprawiedliwości, by powagi władzy na szwank nie wystawić.

Na poparcie tego twierdzenia mamy w zapasie faktyczne dowody, nie cytujemy ich przez wzgląd na prokuratoryę państwa, na punkcie „powagi Władzy" nader czułą.

Tylekrotnie już mieliśmy sposobność wykazania zgubnych skutków wychowania w osławionej galicyjskiej szkole średniej, tyle razy już pisaliśmy o zgubnym dla młodzieży systemie szkolnym i wychowawczym, że zbytecznem nam się wydaje na tem miejscu sprawę tę poruszać.

To, że surowej i bezwzględnej krytyce organów postępowych panowie z „Muzeum" i „Czasu" dali miano „szkodliwej", świadczy że mamy racyę występując przeciw szkole średniej w jej dzisiejszej formie. I nie mamy bynajmniej zamiaru zaprzestać tej „szkodliwej" roboty, owszem będziemy wskazywali tej młodzieży gwałtem wciśniętej pod strychulec, że czas już wyjrzeć po za tę zatęchłą atmosferą stosunków szkolnych. Na ich zmianę wpłynąć nie mając możności, nie widzimy innej drogi jak zagrzewać tych młodych obywateli do samodzielnej pracy nad sobą, jak przeciwstawiać oficyalnemu ogłupianiu w szkole — rzetelną samopomoc naukową, jak demoralizacyi szerzonej z katedry — zapobiegać budzeniem miłości ku wielkim wszechludzkim ideałom.

Powszechnie dziś narzekają, że znaczna część młodzieży ulega zepsuciu, że się przerabia w młodych starców, przedwcześnie zużytych i zgorzkniałych. Szukają przyczyny jedni w upadku ducha religijnego, drudzy w braku karności i dyscypliny. My ją widzimy gdzieindziej i pewni jesteśmy, że jak długo szkoła będzie w rękach czynowników, działających podług szablonu zakreślonego z góry, w ciągłej obawie o awans i rangę, jak długo szkoła będzie się posługiwała policyjnymi i inkwizytorskimi środkami względem oddanej jej pieczy młodzieży — tak długo nie pomoże nawet potrojona liczba egzort, ni najostrzejsze represalia.

Nie łudzimy się, że zmiana prędko nastąpi, ale nie dajemy za wygraną, bo nie możemy obojętnie patrzeć jak się tysiące ludzi marnują.

Czujemy dobrze, że podjęta przez nas i w czyn wprowadzona myśl (tak nazwanego przez „Czas“) „podwójnego wykształcenia“ jest rzeczą trudną i ciężką, ale w obecnem położeniu jedyną. Wiemy, że ta akcya ratunkowa przez nas podjęta skromne wyda owoce, będzie obejmowała, najśmielej licząc, kilka setek ludzi, ale i ten rezultat pracy pozostanie zasługą wobec społeczeństwa, a to nasz cel jedyny.

Z TEJ ŁEZ DOLINY.

„Dowiedziałem się, że chociaż gmach naszej Rzeczypospolitej trzeszczy we wszystkich fugach, chwieje się i chyli do upadku, to nam obywatelom i mieszkańcom tego gmachu nic do tego, bo mamy powołanych architektów. którzy czuwają nad jego bezpieczeństwem.

„Nie wolno dopuścić, ażeby się niepowołani mieszali do spraw, które zawsze i wszędzie powinny zostać w ręku powołanych.“

(Piotr Sczepanowski.)

I.

Najwcześniej ze wszystkich dzisiejszych prowincyj polskich odciętą od organizmu Rzeczypospolitej została Galicya. Już od r. 1772 wchodzi ona w skład krajów koronnych monarchii austryackiej. Fakt ten ma bardzo doniosłe znaczenie i musimy się z nim liczyć zawsze, ilekroć o stosunkach galicyjskich mówimy. W chwili największego rozkładu i niemocy od pnia macierzystego odcięte, społeczeństwo polskie w Galicyi nie przeżywało już wrażeń ostatnich wypadków, które pod koniec istnienia Rzeczypospolitej tak silnie wstrząsnęły duszą narodu. Słyszano o nich wprawdzie po dworkach szlacheckich, dobiegały nawet silniejsze

lub słabsze odgłosy burzy rewolucyjnej w Polsce, ale ogół społeczeństwa był już, dzięki dwudziestoletnim wysiłkom najezdczej biurokracyi, systemem germanizacyjnym jak niemowle w pieluchach spowity.

Głównym czynnikiem germanizacyjnym w Galicyi była oczywiście szkoła.

Cały ustrój szkolny żywcem przeszczepiono na grunt galicyjski z sąsiednich, dawno już zgermanizowanych Czech. Rzecz naturalna, że i w Galicyi wychowanie było ściśle niemieckie — a stan ten dotrwał aż do r. 1848, raczej nawet do 1866. Orgie germanizacyjne w szkole galicyjskiej sięgały zenitu za Metternicha. Od 3-ej klasy poczynając, używano w szkołach normalnych wyłącznie języka niemieckiego. Uczeń, złapany na rozmowie w języku polskim, dostawał od nauczyciela znaczek drewniany tz. Sprachzeichen, który musiał tak długo zatrzymać u siebie, dokąd nie udało mu się oddać go innemu również na rozmowie polskiej schwytanemu koledze. Poczem otrzymał w sobotę plagi w ilości proporcyonalnej do długości czasu, przez jaki zatrzymywał on Sprachzeichen u siebie. Nic dziwnego, że każdy chwilowy posiadacz przeklętego znaczka szukał tylko sposobności pozbycia się go co rychlej, podsłuchując i denuncyounjąc na wszelkie strony.*)

W takich mniejwięcej warunkach doczekała Galicya roku 1866, który z konstytucyą oktrojowaną, a więc właściwie ze strzępami konstytucyi, niósł jednak temu nieszczęśliwemu krajowi stosunkowo dość dużo autonomicznych swobód i praw. Między innemi oddawała konstytucya ster wychowania publicznego w ręce władz autonomicznych.

Państwowa ustawa szkolna z 14 V 1869, zakreślając ogólne ramy państwowego systemu szkolnego, pozostawia Radom szkolnym krajowym swobodę opracowania w tych ramach szczegółowego planu wychowania i nauczania stosownie do potrzeb każdego kraju. R. 1873. Szkoła ludowa w Galicyi przechodzi na etat krajowy — i odtąd już szkolnictwo ludowe spoczywa niepodzielnie w ręku władz autonomicznych.

Pod tchnieniem konstytucyjnej wolności ożyło nagle społeczeństwo galicyjskie, ile że pamiętne przesilenie konstytucyjne

---

*) Schnür Pepłowski. „Z przeszłości Galicyi“ str. 59, 60 i 358. — Warto przy sposobności przypomnieć, że dziś hakatyści jota w jotę tosamo czynią z dziećmi polskiemi.

w Austryi zbiegło się na gruncie galicyjskim z innym potężnie wzbierającym prądem, z prądem natury patryotycznej, z ruchem ludowym.

Smutne doświadczenia lat 1846 i 1863/4 wykazały niezbicie, że marą jest idea niepodległości, ścigana jedynie przez garstkę uprzywilejowanych, z szlachecką karabelą w dłoni!...

Po chwilowem przygnębieniu wnet naród się ocknął, ocknęła raczej ta kilkutysięczna zaledwie w szesnastomilionowym narodzie garść uświadomionych i wystraszonemi jeszcze po świeżym kataklizmie, szeroko otwartemi oczyma toczyli po kraju spustoszonym, szukając na czem by dalszą przyszłości budowę oparli. I uwagę ich silniej niż kiedykolwiek przedtem przykuły te zwartą masą po wszystkich ziemiach prapolskich rozsiadłe rzesze ludowe. Tam, pod białemi sukmanami wzgardzonego lekkomyślną i bezsumienną przeszłością chłopstwa, spoczywać musi sama dusza narodu, ta biała jak ich strój a zdrowa jak ich dłoń spracowana...; tam, w tych warstatach i fabrykach miejskich i tam w podziemnych, bezsłonecznych obszarach górniczych — siłą robotniczych musków wykuwa się przyszłość Ojczyzny! A więc do ludu! — potężne i nową nadzieją brzemienne hasło poszło po ziemiach polskich, by się nie oprzeć, aż o Karpaty.

W Galicyi rozpoczął się niewidziany tu przedtem ruch ludowy. Pierwszym postulatem pracy narodowej stała się oświata „siermiężnej braci“. Powstawały pisma i dziełka popularne dla ludu, mnożyły się towarzystwa oświaty ludowej po większych galicyjskich miastach, sypały się składki na zakładanie szkół, tworzono „Kółka Rolnicze“ itd.

Nie dziw przeto, że gdy w takich warunkach, w tak podniesionym nastroju społecznym konstytucya przyniosła nagle ukrajowienie i tem samem spodziewane unarodowienie szkoły ludowej, tej głównej dotąd placówki germanizmu, zapał społeczny spotężniał do granic krańcowego entuzyazmu dla szkoły. Entuzyazm ten tak był silny, że aż podwoje sali sejmowej zdołał sobie otworzyć i tam przez posłów demokratycznych zapalał nawet starą konserwę do żwawej pracy nad oświatą powszechną. Owocem tych niestrudzonych rozpraw sejmowych był nieskończony szereg wniosków, uchwał i ustaw, normujących stosunki ukrajowionego szkolnictwa.

Tymczasem oświata ludu poczęła wydawać widoczne owoce: chłop kroczył szybko po drogach emancypacyi. Jego czołobitność przed „panami“ coraz bardzięj słabła, w prostym stosunku do wzrostu poczucia niezależności; zakres jego potrzeb rozszerzał się. pociągając wyższe wymagania zarobnicze; jego aspiracye polityczno-społeczne sięgały coraz wyżej i dalej, wiodąc chłopa nie tylko do rad gminnych i powiatowych, ale do sejmu i parlamentu. Wołania o równouprawnienie społeczno-polityczne coraz częściej, coraz natarczywiej dobywały się z gminu. Syn chłopski nie poprzestawał na „wiedzy“ w szkółce wiejskiej zdobytej, — on poprzez szkoły średnie piął się na równi z „szlachetnie urodzonym“ na same „czoło narodu“ — słowem na wielu polach począł chłop szlachcicowi niemiłą bo niebezpieczną czynić konkurencyę.

O źle... myśleli panowie nauczyciele — jeszcze gorzej... Zamiast przepisów i obowiązków swoich sumiennie pilnować — oni poczęli się „wdawać w nieswoje rzeczy“, a sarkać, a krytykować, a „władzom prawowitym“ wytaczać proces o wyższe płace, a pretensye do urojonych jakichś praw człowieka, a bunt podnosić otwarty i buntować naród:

Trzeba było złemu zaradzić. Ale jak? — Otóż nic, tylko zreformować szkołę. Społeczeństwo do reform szkolnych zapalone rozrzewni się zawczasu nad pracowitością i rozumem „powołanych“ jak skoro tyiko szumną „wielkich reform“ zapowiedź usłyszy, — i z zaufaniem bez troski, przyszłość swojej oświaty w ręce „ojców“ złoży.

„Jak rzekli; zrobili...“

Roli „powołanego architekty“ w tej mozolnej robocie podjął się młody historyk i profesor praw, Dr. Michał Bobrzyński.

II.

Jest pono za granicą zwyczaj, mocą którego naprzód się nabija a potem strzela. Przetłómaczone na język powszedni wykłada się to tak, że ludzie przy czemkolwiek społem pracować mający godzą się pierwej na pewne wszystkich współpracowników obowiązujące zasady, aby snadź nie powtórzyła się wieża Babel. Mocą rzeczonego tedy obyczaju (zagranicznego) także i roformy szkolne uprzedzać zwykła ustawa zasadnicza, na której potem dopiero opiera się plany, do planów i do ustawy przystosowuje się podręczniki szkolne, a na samym końcu w osobnych instru-

kcyach poucza się nauczyciela, jak on w tem wszystkiem winien się oryentować.

Naszemu „powołanemu architekcie“ zwyczaj opisany wydał się archaicznym. Wydał tedy, czyli też wydać kazał podręczniki szkolne — ale nie wszystkie, jeno te, które najłatwiej było ułożyć; potem — a było to w r. 1893 — ukazały się plany naukowe wraz z instrukcyą, nakoniec zaś nauczyciele, wiedzący już, czego i jak nauczać winni, a zafrasowani jedynie, iż w wielu wypadkach nie wiedzieli, z czego by nauczali, doczekali się reszty (nawet najtrudniejszych) podręczników szkolnych. Było już wystrzelone, tylko...zapomniano nabić. To nic—nabiło się dopiero dwa lata po wystrzale: r. 1895 przyszła już i ustawa zasadnicza.

Ponieważ Instrukcya z r, 1893, w braku nowej (czyli zreformowanej już) ustawy zasadniczej, musiała zostać opartą o dawniejszą, dotychczasową ustawę (z r. 1885), przeto redakcya nowej astawy (z r. 1895) rada nierada musiała pozostawić w niezmienionem brzmieniu, powołany już w Instrukcyi najważniejszy paragraf, mianowicie ten, który określa cel szkoły. Rzeczywiście, określenie celu w obu tych ustawach brzmi co do słowa identycznie. Jest to spostrzeżenie nader pouczające. Okazuje się bowiem, że ta, która miała stanowić epokę, ta iście apokaliptycznymi „znakami na niebie i ziemi“, z szumem zapowiedziana „reforma zasadnicza“, w gruncie rzeczy nic zasadniczo nowego nie przyniosła. Czyż jest bowiem w ustawie coś zasadniczego poza ideą przewodnią, jaką w naszym wypadku przedstawia pojęcie zadań szkoły? A oto, jakie określenie tychże zadań powtarza ustawa Bobrzyńskiego za ustawą dawniejszą (z r. 1885):

„Szkoły ludowe pospolite, podając wiadomości ludziom wszelkiego stanu najpotrzebniejsze, urządzone będą tak, ażeby dzieci z nauki czerpały oświecenie o zasadach religijnych i obowiązkach obywatelskich, tudzież o zadaniach i warunkach zawodu, jakiemu się według okoliczności, miejsca i stanu prawdopodobnie poświęca“.

Dość raz tę definicyę uważnie przeczytać, aby już nabrać wyobrażenia o jej wartości. Mówi sama za siebie. Arcylojalny p. Bobrzyński w swoim reakcyjnym zamachu popadł nawet w pewną sprzeczność z ustawą państwową. Ta ostatnia bowiem określa ogólny cel szkoły dla wszystkich krajów w monarchii (wliczając w to i Galicyę) w ten sposób:

„Zadaniem szkoły jest wychowywać dzieci obyczajowo-religijnie, rozwijać ich władze umysłowe, wyposażać je wiadomościami i zdolnościami celem dalszego wykształcenia dla życia, i tworzyć podstawę do wykształcenia dzielnych ludzi i członków społeczeństwa“.

Jest tu tedy powiedziane, że szkoła powinna: 1) wychowywać, 2) rozwijać władze umysłowe, 3) wyposażać wiadomościami i zdolnościami do celów dalszego kształcenia się dla życia, 4) zmierzać do wykształcenia dzielnych ludzi i członków społeczeństwa.

Takie jest życzenie wyraźne ustawy państwowej. Tymczasem w Bobrzyńskim przemogły inne instynkta... Musiał jak przekorne dziecko, wszystkim tym czterem punktom przeciwwstawić coś wręcz przeciwnego. Więc jego szkoła nie wychowywać, ale jedynie oświecać będzie o zasadach religiinych i obowiązkach obywatelskich — czyli ostatecznie będzie ta szkoła dostarczała społeczeństwu ludzi akurat takich samych, od jakich roi się w naszej mizernej krainie, ludzi, co to choć znają do cna swoje obowiązki, to tylko po to, aby ich właśnie nie pełnić... Więc tu już, w samem ustawodawstwie szkolnem, złożyli nasi „powołani“ reformatorowie szkolnictwa ludowego zarodki i posiew tego zła moralnego, którego jad w dalszym ciągu przez szkołę średnią sączy się w serca młodzieży!

Idźmy dalej:

Ustawa państwowa żąda, ażeby w szkole „rozwijać władze umysłowe dzieci“; ustawa Bobrzyńskiego w analogicznem miejscu każe podawać wiadomości ludziom wszelkiego stanu najpotrzebniejsze“. Różnica aż nadto widoczna: dziecko, wychowane systemem państwowym, będzie umysłowo rozwinięte, a każdy wie, co ten wyraz znaczy; natomiast dziecku w szkole Bobrzyńskiego poda się szereg wiadomości przez „powołanych architektów“ za „najpotrzebniejsze“ uznanych, skutkiem czego stanie się ono chodzącą ale bezmyślną „encyklopedyą wiadomości ludziom wszelkiego stanu najpotrzebniejszych“, encyklopedyą coprawda tandecką, ale zawsze rozwiniętemu wychowankowi innej szkoły austryackiej przy sposobności do czegoś pomódz mogącą. Skarżymy się na naszą nieudolność życiową, na brak inicyatywy i przedsiębiorczości w naszem społeczeństwie, skarżymy się na niemoc i brak odporności przeciw zakusom wrogich nam

żywiołów, skarżymy się na kalectwo naszej szkoły średniej (będącej wszakże bądź co bądź szkołą wybrańców) — a czyż tu nie widzimy z iście kartezyuszowską jasnością i dokładnością, że „powołani architekci“ świadomie trzymają w tej niemocy całe masy narodu przemyślnym systemem spowite?! Wszystkie narody chcą mieć ludzi, i to od dziecka już „rozwiniętych“ — u nas chce się mieć ciągle dzieci, i to dzieci zakute.

Troskliwość szkoły państwowej o „dalsze wykształcenie“ życiowe panu Bobrzyńskiemu jest zupełnie obcą. O ważnej tej sprawie niema w jego ustawie ani słowa wzmianki. Jego zdaniem widocznie szkoła ludowa przedstawia alfę i omegę całej dla „tłumów“ przeznaczonej mądrości.

Ostatni wreszcie postulat ustawy państwowej, by szkoła „tworzyła podstawę do wykształcenia dzielnych ludzi i członków społeczeństwa“ zastępuje Bobrzyński innem, wielce na pozór oryginalnem, ale w rzeczy samej już czysto-indyjskiem żądaniem, by dzieci w szkole „czerpały oświecenie o zadaniach i warunkach zawodu, jakiemu się według okoliczności, miejsca i stanu prawdopodobnie poświęcą“. I jak gdyby w obawie mylnego zrozumienia albo — co gorsza — mylnego zastosowania tej niesłychanej „idei“, dodaje nasz prawodawca“ swój własny komentarz w tym sensie:

„Przysposabianie młodzieży w szkole ludowej do życia praktycznego należy więc pojmować we właściwem znaczeniu tak, jak je ustawa określa. Nie żąda ona od szkoły ludowej fachowego wykształcenia młodzieży w zawodach praktycznych(!), lecz wymaga jedynie oświecenia o zadaniach i warunkach tych zawodów, z których dziatwa pewnej szkoły pochodzi i którym się też prawdopodobnie poświęci. Nie powinna więc szkoła ludowa odwracać umysłów młodzieży od stosunków, wśród których młodzież ta wzrasta i budzić w niej żądzy wydobycia się z tych stosunków(!), żądzy sztucznej (?!!), dla ogółu do osiągnięcią niemożebnej, pozostawiającej po sobie najczęściej gorycz i niechęć do pracy (?!), a szkodliwej dla społeczeństwa (!). (Instrukcya str. 42/3). I kończy najwyraźniej tak: „Cel szkoły nie sięgą dalej“ (!).

Tu już z całą wrodzoną sobie szczerością czyli też cynizmem odsłania wielkoduszny reformator intencye swoje. Spróbójmy powyższe słowa jego przełożyć na zwykły dyalekt chłopski, a otrzymamy rezultat mniej więcej taki:

Nie myślcie, panowie nauczyciele, że każę wam do sali szkolnej znosić pługi, warsztaty, kilofy i kielnie, nie myślcie, że macie być fachowymi podmajstrzymi w „praktycznych zawodach“ — na to jeszcze nie czas! Ja od was tylko żądam, abyście naprzód wywiedzieli się, z jakiego stanu pochodzą powierzone wam dzieci i czem się trudnią ich ojcowie; następnie z całym zasobem dobroczynnie wam w mózgi wpojonej specyalnej logiki macie dojść do wniosku, że przecież na mocy odwiecznych szanownych zwyczajów dzieci się muszą zawodowi ojców „prawdopodobnie“ poświęcić — a to niechaj wam będzie „początkiem mądrości“. Z tego już jasno wam się przedstawi, które dzieci należy uczyć na kowali, murarzy, stróżów kamienicznych i stróżów ulicznych, a które na chłopów, parobków, fornali, które nakoniec na panów albo dygnitarzy. Przytem niech ci, co są odarci i głodni, nie wiedzą nic o tem, że mogą się trafić ludzie dostatnio odziani i syci — bo mogliby zapragnać,

niech ci, co w nędzy i ciemności powitali świat, nie dowiedzą się nigdy o istnieniu dostatku i światła — bo mogliby zapragnąć;

niech ci, co z krwią pomarłych pokoleń wzgardę i poniżenie za dziedzictwo wzięli, nie zasłyszą już znikąd, iż na szerokim świecie istnieje sława, uznanie, zaszczyty i cześć — bo mogliby zapragnąć;

niech ci, co z łaski fortuny opływają w tłustości ziemskie i jedzą wszelaki owoc ziemi, nie nauczą się „nowej wiary“, że wielkie wydziedziczonych rzesze muszą w swojem jestestwie najświętsze prawo do życia, — bo mogliby sobie i nam zaszkodzić!

Ja taką wolę zostawuję wam.

A gdy tak ucznie swoje naucza Rebe Bobrzyński, pozwólmy sobie z naszej strony postawić jedno, tylko jedno pytanie: Jakie też wyobrażenia nasuwa temu panu jeden wyraz... cywilizacya?

D. c. n.

DOLA.

— „Sława Bohu“.

„Sława. — A kto tam?

„To ja, — Mykoła.

„Ty? — Co chcesz? Gadaj żywo, bo zimno.

„Ta ja tu z prośbą do pana, z wielką prośbą!... Pan sami dobrze wiedzą jaka u mnie bieda... Chleba w chacie nieraz brak, a ot teraz, to mi już zupełnie opału zabrakło, — łyżki „żuru“ ciepłego niema przyczem zgotować — dzieci i chora żona zamarzają... Płot już spalony i strzecha z chlewa... Ja do pana... Jak do ojca rodzonego... po ratunek, po zmiłowanie!... Furę słomy!.. Ja na wiosnę odrobię!... Dzieci... żona — Bogu.., ja!...

„Te te te! — Wszyscyście bratku dobrzy, kiedy Wam bieda i kiedy Wam o coś prosić przyjdzie, ale kiedy od Was czego trzeba — to nie.

Zapomniałżeś już jak to przed dwoma miesiącami prosiłem was byście przyszli z cepami na robotę do stodoły. Kilku przyszło, a kilku innych i ty między nimi — nie. I była przez to strata duża!

„Dziecko mi wtedy panie umarło, nie mogłem!!...

„Ha, to trudno! — Tyś wtedy nie mógł, — a teraz ja nie mogę.

„Jaż na wiosnę odrobię panie... podwójnie odrobię... Panie!...

„Nie dam“!

„Jasny panie!“...

Lecz pan ekonom trzasnął drzwiami, a on został sam przed pustym gankiem mnąc czapkę w ręku.

I ogarnęła go bezmierna niemoc, że aż nie mógł się ruszyć z miejsca, na ktorem stał, Jakby go to ostatnie, niespodziewane „nie dam“ przybiło do ziemi. Ręce mu zwisły bezwładnie i czapka z nich wypadła na śnieg.

Był uroczy zimowy wieczór. Niebo takie czyste, martwe, milionem gwiazd utkane. A pośród nich tkwi księżyc i leje na ziemię fale srebrnego światła. Leciutki wiatr muska drzewa stojące przed gankiem i zrywa z małych gałązek ciche szepty, które wraz ze szronem spadają na ziemię.

Tysiącem farb iskrzy się śnieg w świetle księżycowem, a po powierzchni jego pełzają bezkształtne długie cienie chylących się od wiatru drzew.

Hej piękny wieczór, — piękny świat! —

A ludzie na nim, jak ten strumień, co toczy swe wody w dal, a nigdy nie wie dokąd dopłynie, i gdzie kres. —

A ludzie na nim jak kwiat, co wyrósł w cieniu, i nigdy nie widząc ożywczego słońca napróżno wytęża swe siły, by dalej rość.

A ludzie na nim, jak ten dzień, co był wczoraj, a już ani jutro, ani nigdy więcej nie będzie.

I znikad pomocy! znikąd zmiłowania! znikąd, znikąd!

Schylił się, czapkę podjął i poszedł drogą do domu. Śnieg skrzypiał mu pod nogami, siarczysty mróz szczypał go i kłuł ostremi szpilkami w uszy i twarz, ciekawy księżyc spuścił nań jeden ze swych promieni i zaglądał mu w oczy. On szedł krokiem chwiejnym, bezmyślny, nie przytomny. Bezwiednie pchnął drzwi chaty i wszedł do środka.

Ciemno tu było i zimno jak w grobie, więc omackiem prawie dobrał się do ławy i nie rozbierając się usiadł na niej ciężko.

W tem głos cichy, rozbity ozwał się doń z kąta.

— „To ty Mykoło?“

— „Ja“.

— „A co?“

— „Nie dał!“

Zapanowało milczenie. a po chwili żałośne jęknięcie i suchy straszny kaszel ozwał się z tegoż kąta.

Mykoła poruszył się, jakby chciał wstać i iść tam, lecz ręką niechętnie machnął, spuścił głowę na piersi i jakby się zamyślił. — Lecz on nie myślał, — w jego biednej skołatanej głowie żadna myśl zrodzić się i postać nie mogła, czuł tylko w niej jakiś nieznośny tępy ból i słyszał szum. Jakiś wielki żal ścisnął go za serce, żal do świata, do ludzi, do siebie samego. Coś jakby łzy, piekło go żarem w oczy i dusiło go za gardło nie dając zeń wydobyć żadnego głosu — żadnego jęku...

I było mu źle — bardzo źle!...

I oto ujrzał raptem, jak z najciemniejszego kąta izby wychyliła się jakaś olbrzymia biała postać. Wielkim chłodem powiało od niej po całej chacie, a ona sunęła cicho, do miejsca, gdzie leżała chora. Duże sople lodu wisiały na całej tej postaci wydając suchy chrzęst przy poruszaniu się jej, a ona doszła do chorej i pochyla się nad nią coraz niżej i niżej.. już, już ją dotknie i jednem tchnieniem zabije.

Mykoła czuje to wyraźnie i widzi jednocześnie jak z innego kąta — stógłowy potwór — Głód, wyciąga swe olbrzymie kosmate łapy i sięga po śpiące pod zimnym piecem dzieci. Mykoła chce skoczyć i biedz, ale jakiś wielki ciężar przytłacza mu barki i gnie — gnie do ziemi. Chce więc krzyknąć, ale mu głos uwiązł w zduszonem gardle, więc wysilił się strasznie aż mu coś pękło w piersi i głos do krakania wrony podobny wydarł się z ust...

Ocknął się, bo usłyszał skrzypnięcie drzwi, czyjeś kroki, i jednocześnie obcy głos zapytał:

— „A jest Mykoła w domu?"

— „Jestem, — a kto to?"

„To ja, Sydor, przysłał mnie „starszyna*)", ażeby wam przypomnieć, że to pojutrze trzeba płacić podatek. Należy się od Was..."

— „Dobrze, dobrze."

— „No to, dobranoc!"

— „Dobranoc!"

I znowu cichy jękliwy głos poprzedzony kaszlem, zapytał z kąta:

— „Kto tu był?"

— „Sydor,"

— „A czego."

— „Po podatek."

— „Hosp... pomyłuj!..."

W tem jedno z dzieci spiących przy piecu na starej świcie, poruszyło się i zapiszczało:

— „Jeść mi się chce mamo!... Jeść"...

— „Oj zimno mi, zimno! — Mruczało przez sen drugie".

ŚWIATŁODAWCY (Obrazki z natury). Część III.

„Quem dii odere — pedagogum fecere".

1. Automat. Przedstawiam Wam — mili Czytelnicy — maszynę, które za wrzuceniem jednorazowo w miesiącu pewnej sumy, automatycznie zadaje — „stąd — dotąd" -- „wyrywa",

*) Wójt.

odpytuje, a w miarę czy odpowiedź jest prędzej lub wolniej pytlowaną, stawia w katalogu cyfry od 1 do 6 włącznie.

Ale że pod słońcem nie masz nic doskonałego, przeto i machina nasza czasem się psuje i zgrzyta słowami zbliżonemi do: „ośle, „cymbale“, durniu“ i w, i. Słyszałem również o nowym systemie maszyn, który daje się nadto zastosować do szpiegowania i denuncyacyi.

Jedynym właścicielem patentu z włączeniem wszelkich odmian konstrukcyjnych jest znana firma c. k. Rada szkolna krajowa.

2. Fac — totum. Każda szkoła średnia posiada w gronie nauczycieli indywiduum, które bywa duszą stosunku nauczycieli do uczniów i naodwrót. Pan taki jest nieocenionym znawcą pedagogii i wszystkich innych rzeczy, Wie, „jak trawa rośnie“, wszędzie go pełno, do wszystkiego się miesza. Na uczenie przeważnie braknie czasu, więc ogranicza je do zadawania i egzaminowania. Podręcznik szkolny jest dla niego alfą i omegą danej gałęzi wiedzy. Tych, którzy łakną czegoś więcej niż książka, podaje, wnet uspakaja słowami: „abyś tylko to umiał co w książce, to ci wystarczy nawet do matury“; tym co nie odpowiadają jego wymogom bezwzględnie aplikuje „dwójki“, a do pracy zachęca: „ucz się jeden z drugim, — jakiż z ciebie będzie kiedyś urzędnik?“

Poczciwy i dobroduszny „przyjaciel młodzieży“ robi czasem drobne przykrości swoim wychowankom.

Niemiłych sobie, samodzielniejszych, rozsądniejszych potrafi nieznacznie „wyłapać“, a potem denuncyuje „burzycieli“ przed władzą, naraża ich na dotkliwe następstwa, co mu wcale nie przeszkadza sumitować się, że czyni to „dla dobra zakładu“, albo i „dla dobra młodzieży“.

Tacy to panowie „za zasługi“ dostają złote kołnierze i odpowiednie porcye gwiazdek, a pracując miłą pieszczą się nadzieją, że ich „pożałują w dyrektory“.

3. Ludzie pana Tarnowskiego są niemniej cennym nabytkiem w tej bogatej galeryi. Zapatrzeni w mistrza podążają jego śladem, bądź powtarzając żywcem jego słowa, bądź to tworząc samodzielnie na jego wzór i podobieństwo, robią historyę i literaturę, etykę i moralność, a wszystko opatrzone jedną marką. Niechby się kto poważył im powiedzieć, że ta ich historya bywa

zbiorem fałszów mniej lub więcej bezczelnych, ich nauka literatury — pozorem do szczepienia pewnych tendencyi politycznych, etyka — pozą i nieraz brudnem wyrachowaniem, moralność — zrezygnowaniem z praw człowieka, niechby zechciał w imię prawdy i uczciwości zaprotestować, — to go kopną, zelżą, oplują, unicestwią i... skonfiskowaliby, gdyby można takich „radykałów zarażonych duchem niewiary" konfiskować.

Więc grają ci mistrzowie na strunach myśli młodzieńczych i uczuć, wyzyskują dobrą wolę, wiarę i patryotyzm uczniów i nie cofają się przed niczem, bylo zgiąć „nach dem Winke von oben" lub złamać.

4. Spekulanci, ale nie nauczyciele powinni się nazywać ci c. k. światłodawcy, co to zażywają po szkołach naszych opinii „wpływowych".

Dawniej taki pan profesor trzymał uczniów na stancyi za odpowiedniem wynagrodzeniem, biorąc na siebie odpowiedzialność za „przepychanie" panicza z klasy do klasy. Zmuszona okolicznościami, których się łatwo domyśleć, Rada szkolna przed kilku laty zakazała profesorom tego „ubocznego zarobkowania", robiąc jedynie wyjątek dla krewnych. Dziwnym trafem znalazła się nieraz tu i ówdzie paczka profesorów „szeroko skoligaconych". A gdzie już pokrewieństwa ani rusz nie można się było doszukać, — myślicie, że galicyjska sztuka wychowawcza załamała ręce? Nie — w takich razach „udziela się korepetycyi". Prof. X. daje lekcye uczniom prof. Y. i naodwrót Y. obucza wychowanków Iksa — skutek zawsze pewny. Czasem trafiają się jeszcze zawilsze kombinacye, a choć Rada szkolna i to źródło dochodów biedakom odbiera, toć przecie jej nieomylność nie jest dogmatem i da się obejść.

Pomysły w tym kierunku mają różni — różne, dla ilustracyi przytaczam fakt następujący:

Pewien profesor gimnazyalny na prowincyi, człowiek mocno „wpływowy" miewał dyskretne korepetycye. Ale, że mu nie było wygodnie samemu kilka razy w tydzień się fatygować, wyręczał się zdolniejszymi uczniami. Znany mi jest wypadek, gdzie ten pan pobierał 40 fl. miesięcznego honoraryum, w lekcyach zastępował go jeden z moich kolegów, chłopak biedny i bardzo zdolny, któremu p. prof. płacił za to 8 czy 10 złr. miesięcznie!

Czasem można się spotkać z innymi rodzajami spekulacyi. Tu nie od rzeczy będzie zacytować profesora, który w sposób

dający wiele do myślenia „ułatwia“ swoim uczniom nabywanie instrumentów, zbiorów zoologicznych, tabliczek trefowych, a nawet szpilek. I taki handel odbywa się jawnie w budynku szkolnym!

5. Partykularni geniusze. Są między naszymi profesorami ludzie, którzy traktują zawód nauczycielski jako szczebelek wiodący do świątyni Karyery. Nauka, to dla nich tylko środek zarobkowania, to też naprawdę w szkole zachowują się tak, jakby odrabiali pańszczyznę. Ale przecież czasem zabłysną: to popisowym wykładem w obecności dyrektora lub inspektora, to patryotycznem kazaniem na wieczorku, to pomysłem „wojska polskiego“...

Inni bawią się w literatów i krytyków, inni wreszcie robią się na gwałt postępowymi. wydają „pisma dla młodzieży“ a nawet — nawet zamyślają zakładać uczniowskie stowarzyszenia.

Ale kto pozna bliżej tych panów, snadnie pozna, co się kryje pod szychem.

6. Profesorowie „par force“. Różne okoliczności złożyły się na to, że rada szkolna nie mając sił kwalifikowanych, musiała jakoś sztukować, zaczęła więc nadawać posady różnym ludziom. Jaki „census“ ustanowiła dla tych „wyjątkowych“ pedagogów — niewiadomo. Jakimi względami kierowała się najwyższa władza szkolna w kraju, przyjmując ludzi, którzy tylko szkodę i krzywdę przynieśli szkołom i młodzieży — tego również niewiadomo.

Dawano i dziś jeszcze się daje posady zastępców nauczycieli niedokończonym prawnikom, (ludziom zresztą niewinnym temu, że nie mają z czego żyć), dostawali się na posady ludzie, którym wszystko inne było w głowie, tylko nie szkoła. Drastycznym przykładem takiej powiedzmy „nieoględności“ to utrzymywanie na posadzie nauczycielskiej pana, który przez 10 lat studyował medycynę przeważnie w knajpach krakowskich, co kiedykolwiek umiał — dawno zapomniał i mimo, że nieuk jest i moralnie upadły, dał się dobrze we znaki swoim uczniom, śledząc ich i maltretując. Dodać trzeba, że ten pan nosi dobre nazwisko (na „ski“) i przypadkowo jest synem... dyrektora gimnazyalnego!

A równocześnie doktor filozofii, zdolny i ceniony historyk, kwalifikowany zaszczytnie profesor, leżał w szpitalu w ostatniej nędzy.

A równocześnie ukończony student filozofii, również posiadający nauczycielskie kwalifikacye, targa zdrowie i siły w bezproduktywnej pracy pisarza dziennego.

A równocześnie wielu zdolnych i inteligentnych pedagogów wegetuje nędznie na prywatnych korepetycyach...

. . . .

„Więc jakże-to — zapytasz Czytelniku — niema, niema w całym kraju między profesorami szkół średnich uczciwych ludzi?“ Tego nie twierdzimy, owszem znamy i cenimy tych ludzi rzetelnie wykształconych, prawdziwych i po obywatelsku myślących pedagogów. Niestety, można ich na palcach policzyć...

O ile nie twierdzimy, że wszyscy są źli, że wszyscy niegodni uczyć i wychowywać młodzież, o tyle nie wdajemy się w hymny pochwalne, pomni, że prawdziwie zasłużonym wystarcza zadowonie ze spełnionego obowiązku i świadomość, że trud i praca obfite przyniosą plony.

Na zakończenie jeszcze parę uwag ogólnych. Żadna może instytucya na świecie nie mieści w sobie tyle druzgocącej autokrytyki i najzjadliwszej zarazem satyry na siebie samą — co szkolnictwo galicyjskie. Spostrzeżenie to nasunęło mi się w chwili, kiedy przystąpiwszy do kreślenia niniejszych „obrazków“ z całym na jaki mię stać było zasobem objektywizmu znalazłem się nagle w roli... satyryka. Bo też tu naprawdę „difficile satyram non scribere“, dziś gdy miejsce starej dewizy „quod bonum, felix, faustum, fortunatumque sit“ zajęła nowa, wygodniejsza: „byle handel szedł“.

Osławiony system szkolny ma w szkołach średnich na swe usługi jakichś „stupajków“, „szpicli“, „nastawników“.

I dziwna rzecz! Od nauczyciela ludowego, zanim się mu da możność udzielania dzieciom tajemnic wielkiego i małego abecadła z prawem do pensyi 15 złr. miesięcznie, wymaga się aż dwu egzaminów rządowych (matury i egzaminu kwalifikacyjnego), a w szkołach średnich?

....Pożal się Boże. „Niedowarzony“ prawnik, „żelazny“ medyk dostają posady suplentów z pensyą 60, 70 i więcej złr. miesięcznie. Dlaczego tak się dzieje? To nie jest przypadkowy zbieg okoliczności, ale przynajmniej smutny ztan przejściowy. A przyczyna? Przyczyny należy szukać wysoko i głęboko. Z jednej strony taka skrajna oszczędność, z drugiej dobra zapłata — pra-

wie za nic i to w tem „liberalnem“państwie, które na „szufece“ i inne części uzbrojenia wydaje 312 i równocześnie na oświatę 49 milionów koron rocznie!

Te cyfry i fakta mówią jasno, że popieranie elementarnej oświaty ludowej wcale nie jest tak radykalne, jakby ktoś sądził z gadania osób i organów całkiem lub trochę oficyalnych, przeciwnie pozwalają wnioskować, że sferom miarodajnym nie w smak idzie oświata i uświadomienie ludu. Te cyfry i fakta mówią nam także, że w szkole średniej nie chodzi dziś o wykształcenie obywateli kraju, lecz o urobienie pewnej ilości manekinów, na które później można wkładać bez braku wojskowe czy urzędnicze mundury, księże sutanny, czy sędziowskie togi... Doszliśmy do takiego stanu rzeczy, że nauczyciel w szkole średniej nie jest już mistrzem ani przewodnikiem, tylko — ot — zeszedł na wyrobnika w jakiejś potwornej fabryce kalek moralnych.

To też stawiając przed oczy kilka powyższych obrazków, chcemy tem samem powiedzieć społeczeństwu, że pierwszym krokiem do odrodzenia Galicyi, wpierw nim się ją „zdemokratyzuje i uprzemysłowi“ jest wyplenienie chwastów. A takim chwastem, pasożytem, zakałą społeczeństwa jest dzisiejszy system naszych szkół i „gros“ jego wykonawców. *Wa.*

RUCHY NA POLITECHNICE LWOWSKIEJ.

Od czterech mniej więcej lat trwają na politechnice lwowskiej konflikty — bądź to dławione siłą zewnętrzną — bądź uśmierzane wewnętrzną reakcyą, nigdy zaś nie rozwiązane ku ogólnemu zadowoleniu, gdyż nigdy nie trafiono w samo sedno rzeczy. Starano się zawsze potrzeby i żądania młodzieży zaspokoić połowicznie — zwykle z fałszywego punktu widzenia.

Kto by przypuszczał, że walka rozgrywa się tylko na to, ażeby w danym wypadku przyznano racyę żądaniom słuchaczów, byłby w błędzie. Jeżeli się rozważy wszystkie pobudki z jednej i z drugiej strony — przyjdzie się do przekonania, że rozchodzi się o rzecz o wiele donioślejszą — a mianowicie o autonomię młodzieży — o to, kto ma reprezentować technikę.

Jeżeli się mówi o innych zakładach naukowych — ma się na myśli zwykle ich kierowników — którzy stanowią siłę atrakcyjną dla danego zakładu. I tak twierdzi się np., że technika w Zurychu jest znakomita, ponieważ posiada takie a takie powagi naukowe. Jeżeli natomiast wspomina się o technice lwowskiej — to dziś już nikt prawie nie myśli o gronie profesorskiem. Przyczyny przybywania do niej coraz liczniejszych zastępów młodzieży należy szukać oprócz w zwyczajnych karyerowiczowskich względach i w ogólnem zapotrzebowaniu sił technicznych — także i w ruchliwem, wolnościowem życiu młodzieży, tradycyjnie przekazywanem następcom.

Grono profesorskie zaś w wielu punktach mija się z zadaniem na niego włożonem. Mała zaledwie garść posiada rzeczywiście naukową kwalifikacyę — ale jedynie naukową. W całem gronie zasiada zaledwie jeden „człowiek“ w pojęciu nowoczesnem. Reszta przedstawia się jako grupa dobrana: albo nieuświadomionych, Bogu ducha winnych istot — albo blagierów, udających przyjaciół młodzieży niezbyt udolnie — albo też jasno po drodze reakcyi kroczących jednostek. Do tych należy też Thullie — znana powszechnie hyena wyborcza. Ogólne jest twierdzenie, że grono stara się skwapliwie o to, aby przypadkowo nie dostał się doń ktoś, któryby zaćmił resztę albo swoją głęboką wiedzą — albo bardziej ludzkiemi przekonaniami. Dlatego dopasowują się nader akuratnie.

Dawniej, w czasie względnego spokoju byli pomiędzy profesorami ludzie jak Zacharjewicz — którzy mieli powagę wśród swoich Kolegów, i którzy nie dopuszczali do krzywdzenia młodzieży. Po śmierci ich, i równocześnie z pewną zmianą ogólnych warunków, w Gronie wzięła górę najperfidniejsza reakcya, więc tem samem straciło grono moralne prawo do reprezentowania techniki, gdyż takie stanowisko nie mogło się pogodzić z dotychczasowym kierunkiem całej młodzieży.

W owych czasach pokojowych, słuchacze wywalczyli sobie cały szereg przywilejów. — Było słuchaczy niewielu — ściśle złączonych w organizacyę, więc łatwiej było uzyskać zadośćuczynienie dla swoich życzeń. Wówczas to w „Kółku naukowem“ towarzystwa „Bratniej pomocy“ kształcili się słuchacze nawzajem, bez żadnych opiekunów, na przyszłych obywateli, roztrząsali najżywotniejsze sprawy społeczeństwa — a wszystkie zgromadzenia

towarzystwa były wzorem parlamentaryzmu. W jęgo ramach mieli też słuchacze sposobność do zaznajomienia się z gospodarką rachunkową i mogli już w czasach uniwersyteckich oddać swoim współkolegom pewne usługi, poświecenia i czasu wymgające, a które ją najlepiej przysposabiały do pracy obywatelskiej.

Dobrze rozumieli reakcyoniści w gronie profesorów działalność towarzystwa. Nazywał ją profesor Thullie „gniazdem socyalistów i masonów“, biorąc każdy żywszy ruch wśród młodzieży za robotę tych dla siebie strasznych duchów.

I oto spadł pierwszy cios na młodzież, pierwsze ogniwo tego łańcucha walki: Odebrano towarzystwu salę, będącą przez 26 lat w jego użytku i dano mu dziurę pod klatką schodową, w której działalność na szerszą skalę stała się niemożliwą — albo bardzo utrudnioną.

Wywołało to oczywiście reakcyę ze strony młodzieży. — Groźna jej postawa wstrzymała wykonanie uchwały grona profesorów prawie o rok cały. Trzymano się wówczas taktyki prania brudów w własnej chacie. Publiczność mało się dowiadywała o tych ruchach — i rzadko kto wie, że uchwalono wówczas nawet strejk, który jednak z powodu świąt do skutku nie doszedł.

Od tego czasu ruch, koncentrujący się dotychcsas w „Bratniej Pomocy“, rozszedł się pomiędzy wszystkich słuchaczy — z jednej sali — na cały gmach — a stąd też na ulicę.

Raz puszczony kamień toczył się coraz dalej i dalej. — Zgoda pozorna pomiędzy gronem profesorów a słuchaczami, zaczęła się chwiać i coraz bardziej tracić kredyt. Osławiony rektor, konsekwentny „europejczyk“ Niementowski, po wielkim i szumnym hałasie nowatorskim — chciał bądź co bądź działać na korzyść politechniki przez staranie się o rozszerzenie gmachu — ale równocześnie myślał, że potrafi żelazną ręką zdusić wolę młodzieży. Utknął on po raz pierwszy — gdy na żądanie namiestnika rozwiązał wiec w sprawie demonstracyi podczas koncertu Nadiny Slawiańskiej, w której brali udział technicy. Rektor był niezależny od namiestnika i mógł śmiało stanąć po stronie młodzieży — ale wybrał inną drogę — wprawadzając temsamem w szranki nowego wroga dla młodzieży, władze policyjne, które od tego czasu rozpanoszyły się na technice.

Znaną demonstracyą przeciwko prof. Thulliemu młodzież zaznaczyła, że wymaga od profesorów oprócz fachowych wiado-

mości także i zwykłej uczciwości. Grono profesorów jednak, mimo, że cała Polska dowiedziała się o sprawkach p. Thulliego, i że powszechnie nazywa go się „hyeną wyborczą“ nie potrafiło wznieść się na stanowisko wyższe — nie wytoczyło dyscyplinarki skalanej jednostce, a jednemu z profesorów — który taki wniosek postawił, udzielono nagany. — W celu jednak ukarania młodzieży za bądź co bądź naruszenie powagi profesorskiej udano się do namiestnika o radę i przy jego pomocy zamknięto technikę. Rektor wówczas okazał swoją niemoc, składając całą władzę w ręce namiestnika. Przy tej sposobności zbankrutowały też „ojcowskie rady“ prof. Dziwińskiego - który groźbami chytrze doprowadził tchórzliwą większość młodzieży do tego, że poszła namiestnika zapewniać, że będzie „grzeczna“, aby tylko otworzono technikę, mimo, że mniejszość skonstatowała, iż to „nie młodzież zamknęła technikę — więc nie ma powodu, ażeby ona ją otwierała“.

Tak w sprawie sali „Brat. Pomocy“, jak też w ostatniej — młodzież przegrała walkę. Jedyne „bene“ było w tem, że nie ukarano nikogo — za zachowanie się sprzeczne z przepisami dyscyplinarnymi.

Ale i to niezadługo nastąpiło. Gdy grono profesorów zaszydziło ze słuchaczow, wybierając Niementowskiego po raz wtóry na rektora, młodzież zademonstrowała przeciw temu. — Wytoczono więc dyscyplinarki — głównie na podstawie zeznań służby — która odtąd uważa za swój obowiązek oprócz wykonania codziennej pracy — także stale szpiegować myśli i słowa młodzieży. — Srogie zapadły wyroki, sprawa zakończyła się znów porażką młodzieży.

Przez cały rok 1901 trwał głuchy spokój, niby cisza cmentarna. — Wtedy przyszedł do steru wielki mąż stanu, polityk i kandydat na posła, Roman Dzieślewski.

Ciekawem byłoby dowiedzieć się, na podstawie jakich prac naukowych został on profesorem elektrotechniki? Taktyka Grona się zmieniła. Zaczęto niby cukierkami sypać, słowami i pięknymi frazesami mydlić oczy, a p. rektor, który był na wiecach bardzo rewolucyjny, rzucał pokątnie od czasu do czasu najwstrętniejsze hasła: Słyszano np., jak często wyrażał się w sposób bardziej aniżeli niechętny o rusinach, chcąc w ten sposób wywołać walkę narodowościową wśród słuchaczów — i w mętnej wodzie łowić ryby. Ostrzegał też czasami przed żywszymi ruchami, bo

„to może zaszkodzić królewiakom“, akceptując tem samem i wszczepiając tę potworną myśl w serca młodzieży.

Młodzież technicka w tym samym czasie porwana ogólnym prądem obudzenia narodowego — wyszła na ulicę. W sprawozdaniach każdej demonstracyi bieżącego roku szkolnego, czytaliśmy „Aresztowano jednego czeladnika szewskiego, jednego ślusarza i jednego albo dwóch słuchaczów techniki.“

Opanowali oni poprostu całe miasto — tak, że gdy się odbywały wiece w gmachu Technickim, wojsko strzegło konsulatów państw zaborczych.

To wkraczało już w dziedzinę władzy namiestnika, który jednak słuchaczów nie mógł doraźnie ukarać, ponieważ gmach techniki był niedostępną twierdzą dla „stróżów bezpieczeństwa“.

W tem rozchodzi się nagle wieść wśród słuchaczów — że w loży portyera przesiaduje całymi dniami ajent policyjny. Przyciśnięto rektora do ściany — biedny biegał do dyrektora policyi, żądając satysfakcyi za ten, w życiu akademickiem niesłychany fakt i otrzymał zapewnienie, że coś podobnego już się nie powtórzy.

A jednak — znać małą cieszy się rektor powagą — w dwa dni później, raz a potem w tydzień po interwencyi drugi raz, wyrzucono tego samego ajenta z gmachu techniki. — Samopomoc słuchaczów poskutkowała lepiej.

Oprócz tego drastycznego faktu niemocy p. Dzieślewskiego, podamy jeszcze jeden świadczący o jego chytrości, nieco cięższej.

Wobec ogromnego napływu słuchaczy — nie wszyscy należą do towarzystwa Brat. Pomocy.

Dawniej uchwalono na ogólnem wiecu, że reprezentować ma ogół słuchaczów Wydział towarzystwa. Dziś znajduje się kilku malkontentów — którzy z różnych przyczyn nie chcą, ażeby „Brat. Pom.“ i nadal reprezentowała ogół słuchaczów.

Rozumie się, że wszelka kość rzucona pomiędzy słuchaczów — rozbiłaby solidarność i ułatwiłaby panowanie nad nimi. Skwapliwie skorzystał p. Dzieślewski z tej sposobności. Otóż grupie techników zachciało się (może wskutek rad?) urządzić „bal techników“ a p. rektor użyczył do tego swej firmy. Daremnie Wydział „Brat. Pom.“ protestował przeciw takiemu uzurpowaniu sobie przez grupę ludzi prawa występywania imieniem „techników“ i przeciw temu, aby rektor ich popierał.

Na technice lwowskiej istniał sąd honorowy — który niby manometr uczciwości młodzieży, pociągał do odpowiedzialności

wszystkich, którym system szkolny wypaczył pojęcia honoru. Sąd cieszył się ogólnem uznaniem i powagą, w przeciwieństwie do sądów dyscyplinarnych ze strony profesorów — które zeszły po prostu do rzędu władz policyjno-administracyjnych, posługujących się szpiclami.

Sąd honorowy został odebrany młodzieży z powodów formalnych na żądanie namiestnika. Grono profesorów, ani jednem słówkiem nie próbowało obronić tej dla młodzieży ogromnie doniosłej instytucyi, może też nie chciało jej bronić.

Już młodzież gotowała się do walki, gdy w tem jak grom z jasnego nieba spadł na nią najboleśniejszy cios. Odebrano jej prawo zgromadzania się rozporządzeniem ministeryalnem w drodze telegraficznej.

Przyczyną tego zakazu miały być za ostre rezolucye przeciw władzom politycznym skierowane, na ostatnim wiecu powzięte. To jest jawna przyczyna. Krążą jednak uzasadnione pogłoski, że rektor wystarał się o ten zakaz zgromadzeń, aby módz go stosować w razie gdyby miała być poruszona sprawa dlań nie miła.

I rzeczywiście, telegram nosi datę 15 lutego, w marcu odbył się wiec wydziału budowy maszyn w sprawie obsadzenia katedry — więc w sprawie spokojnej... Gdy natomiast w maju zażądali słuchacze pozwolenia na wiec w sprawie reprezentacyi słuchaczów i sądu honorowego, rektor wiedział, że będzie to dla niego sądny dzień, wyjął rozporządzenie — które dotąd nikomu, nawet profesorom nie było znane — i powołał się na nie. Spodziewał się p. Dzieślewski, że słuchacze pójdą drogą legalną, wniosą podanie — i będą zadowoleni — jeśli w październiku utrzymają na powrót prawo wiecowania.

Niestety omylił się. Słuchacze na poufnem zgromadzeniu upraszali grono profesorów — aby wystarało się — o cofnięcie zakazu w przeciągu dni ośmiu, i ponieważ rektor pozwolił wyrządzić cały szereg krzywd młodzieży, nie broniąc ich interesów — wezwali go do złożenia urzędu. W ciągu tych ośmiu dni toczyła się walka odezwowa. Świetnie trawestyowana odezwa rektora pokazała całą nicość frazesów profesorskich — ciągle powagą profesorską grożących... Ponieważ ośmiodniowy termin minął — młodzież zastrejkowała. Strejk wypadł wspaniale. Na więcej aniżeli 800 słuchaczów — przybyło zaledwie dwoch na wykłady. Strejk

trwał tylko jeden dzień, ponieważ przypadły w ten czas „Zielone Świątki“ — a w dniu ostatnim przyszło cofnięcie zakazu.

Spokojnie młodzież podjęła na nowo swą pracą codzienną-

Strejk zakończył się zupełnem zwycięstwem młodzieży, nie tylko dlatego, ce cofnięto zakaz — ale z powodu niebywałej dotychczas, wzorowej solidarności. Młodzież dowiodła, że w sprawach ogół obchodzących potrafiła poddać się pod uchwałę większości i stanąć do walki jak jeden mąż.

Była to pierwsza rewia tego rodzaju i udała się znakomicie. Strejk wzmocnił niezmiernie solidarność pomiędzy młodzieżą, a że był równocześnie uwieńczony dobrym skutkiem, więc otucha wstąpiła w serca młodzieży, że nowe, lepsze czasy nastąpią na technice.

Całe społeczeństwo pomagało młodzieży w tej walce. Zniewolone taktownem i konsekwentnem postępowaniem młodzieży z jednej strony, kłamliwem i bezkarnem zachowaniem się grona profesorów które wykazało przy tej sposobności nadzwyczajny brak inteligencyi i rozumienia młodzieży, wszystkie dzienniki — nawet konserwatywne, które z początku rzuciły się na młodzież „buntującą się“ -- przeszły w toku walki na jej stronę.

„Koło polskie“ w Wiedniu zainterpelowało w tej sprawie ministra oświaty, prawdopodobnie aby uprzedzić w tem posła Daszyńskiego.

Minister całą winę zwalił na grono profesorów i rektora, tak że ono rzeczywiście pozostało w walce same, bez poparcia władz wyższych, bez moralnej siły, pokonane i zdeptane...

Ale jak ten wąż, który przyciśnięty stopą mści się i jadowitym zębem zadaje ranę — tak i grono profesorów postanowiło, zebrawszy resztki głupoty i bezczelności zemścić się za swoją porażkę — nie powiększając swej powagi -- a uwidoczniają w swoim ślepym do wściekłości doprowadzonym gniewie porażkę.

Postanowiło relegować tych trzech słuchaczów, którzy przewodniczyli na zgromadzeniach poufnych i przedłożyli uchwałę tych zgromadzeń rektorowi. Ślepi i bezduszni starcy świeżej oliwy dolali do ognia, wystawiając sobie samym świadectwo ubóstwa.

Młodzież czuje, że należy uzdrowić te stosunki, a do tego celu jest jedyna droga: Wyrwać władzę z rąk tych — którzy teraz rządzą na technice; uzyskać zupełną swobodę autonomiczną

i razem z całem społeczeństwem wziąć się do pracy nad szerokiemi masami ludu.

Walki ostatnie są jakby kurcze porodowe — a powstać z nich ma wielka chwila oswobodzenia ducha młodzeży z pęt wstecznictwa.*) *Alch.*

Leoben w kwietniu 1902.

Koledzy!

Oburzający fakt, jaki miał miejsce w b. m. wśród pewnej części tutejszych polskich akademików, a świadczący nietylko o braku wszelkiej solidarności koleżeńskiej polaków wobec niemców, lecz co gorsza, o zaniku elementarnych obowiązków i uczuć pod względem narodowym, zmusza nas do zabrania głosu i oddania tej smutnej sprawy pod sąd ogółu Młodzieży Polskiej i opinii publicznej.

Od początku bieżącego roku szkolnego istnieją w Leoben dwa stowarzyszenia polskie: niedawno założony „Promień" i „Czytelnia Polska ak. górn." To ostatnie stowarzyszenie, nie podlegając w ciągu 24 lat najmniejszej kontroli ogółu Młodzieży Polskiej, a nawet wcale jej nie uznając, żyło w kole najzupełniej zamkniętem i wzorując się tylko na „burschenschaftach" niemieckich, wytworzyło wśród swoich członków wprost zabijającą atmosferę. To też nic dziwnego, że w przeszłym roku szkolnym powstała w „Czytelni" opozycya; nie mogąc jednak, pomimo wszelkich starań, przeprowadzić w łonie „Czytelni" sanacyi stosunków, założyła dla przeciwdziałania jej zgubnym wpływom stowarzyszenie „Promień", a jednocześnie w „Tece" i czasopiśmie „Promień" zaznaczyła konieczność tego kroku, pozostawiając bliższe omówienie tutejszych stosunków do chwili stosowniejszej.

Chwila ta, sądzimy, obecnie nadeszła: w kwietniowym zeszycie „Promienia" zjawił się artykuł p. t. „O burszach polskich", w którym autor zarzuca pewnej części akademików polskich, kształcących się w Austryi, nizki poziom życia umysłowego, lojalizm, a nadewszystko obserwowanie wstrętnych praktyk i zwy-

---

*) Już po złożeniu tego artykułu uchwaliła młodzież technicka powtórny strejk wobec relegacyi prezydyum pierwszego poufnego zebrania. *Red.*

czajów burszowskich. Dla tych, którzy znają stosunki leobeńskie, było jasnem, że w owym artykule jest omówione zewnętrze i wewnętrzne życie „Czytelni polskiej" w Leoben. Tak też zapatrywała się na ów artykuł i sama „Czytelnia", zwracając się do stowarzyszenia „Promień" z następującemi pytaniami:

1. Czy autor artykułu w czasop. „Promicń" jest członkiem stow. „Promień"? 2. Czy z artykułem tym stow. „Promień" się zgadza? 3. Jeżeli autorem wspomnianego artykułu jest członek stow. „Promień", to w jaki sposób stowarzyszenie reaguje na to?

Wobec tego Walne Zgromadzenie stow. „Promień" z dnia 22. kwietnia b. r. powzięło następującą uchwałę:

„Nie wchodząc w to, czy autor omawianego artykułu jest członkiem „Promienia", lub nie, oraz nie czując się bynajmniej powołanymi do zbadania tego, oświadczamy, że z treścią wzmiankowanego artykułu solidaryzujemy się, uważając ją nie za insynuacyę — jak chce „czytelnia" — lecz za fakty zgodne z rzeczywistością."

Po otrzymaniu powyższej uchwały, „Czytelnia" zerwała wszelkie stosunki ze stow. „Promień" i poszczególnymi członkami, a następnego dnia zaszedł właśnie fakt, który zmusił nas do publicznego wystąpienia.

Dwaj członkowie „Czytelni" zrobili członkowi „Promienia" zarzut niehonorowości; ów członek zażądał dla załatwienia tej sprawy zwołania sądu honorowego, składającęgo się naturalnie, wyłącznie z polaków — na co owi dwaj członkowie „Czytelni" oświadczyli, że na taki skład sądu zgodzić się nie mogą i żądają oddania tej sprawy sądowi burszowsko-akademickiemu w Leoben, motywując swe żądanie tem, że nie czuliby zaufania do takiego sądu, w którym przyjąłby udział superarbiter z łona Młodzieży Polskiej, wrogo względem „Czytelni" usposobionej, a tem samem stronniczej.

Wobec kategorycznego oświadczenia owych dwóch członków „Czytelni", że na załatwienie tej sprawy na innej drodze, jak sądu ogólno-akademickiego, nie zgadzają się, — ów członek „Promienia", jako słuchacz akademii, chcąc nie chcąc, był zmuszony zgodzić się na powyższy sąd, tembardziej, że akademicy-niemcy byli już o tej sprawie poinformowani. A co czyni „Czytelnia" wobec tak nikczemnego stanowiska dwóch swoich członków? „Czytelnia leobeńska", uznając powyższe motywowanie za zupełnie

uzasadnione, zwołuje, jako stowarzyszenie, sąd honorowy, składający się z przedstawicieli wszystkich tutejszych „burszenszaftów niemieckich i Czytelni polskiej“ dla potwierdzenia owego zarzutu niehonorowości owemu członkowi „Promienia“.

Uważając sam fakt zwołania sądu burszowsko-niemieckiego w sprawie polakow, szczególniej wobec obecnego stanowiska całego społeczeństwa polskiego względem niemców, za nieodpowiedni a brak zaufania do Młodzieży Polskiej i zrobiony jej zarzut stronniczości za obelgę rzuconą całemu ogółowi Młodzieży Polskiej, — podajemy ów czyn „Czytelni Polskiej w Leoben“, jak również i burszowski charakter tego „polskiego“ stowarzyszenia, pod pręgierz Waszej, Koledzy i publicznej opinii.

Z koleżeńskiem pozdrowieniem

Zarząd „Promienia“ stow. post. młodz. polsk. w Leoben.

W powyższym komunikacie złagodziliśmy dwa wyrażenia gdyż zdaniem naszem, fakty mówią same za siebie. W zupełności podzielamy zdanie Zarządu „Promienia“, że oddawanie spraw zachodzących między polakami, pod rozpatrywanie sądu, złożonego z burszów niemieckich, jest niedopuszczalne, gdyż etyka tych ostatnich zupełnie jest różna od naszej, i że z podobną praktyką należy stanowczo zerwać. Przypominamy również, że stosownie do komunikatu „Czytelni“, który pomieściliśmy w Nr. 5, sprawa miała być oddaną „sądowi obywatelskiemu w kraju“; i czekamy dalszych wyjaśnień. Red.

* * *

Otrzymaliśmy od Zarządu Post. Mł. P. komunikat, który umieszczamy poniżej. Prostuje on naszą uwagę o roli, jaką obie organizacye zagraniczne odegrały w sprawie rozdawnictwa stypendyów rapperswylskich. Ze swojej strony zaznaczamy tylko, że przed 2 laty dochodziły nas liczne skargi na stronniczy, jakby się wydawało, system rozdawania stypendyów. Od tego czasu, jak wiadomo, Rada naczelna dopuściła do obrad nad stypendyami delegatów obu organizacyi. Red.

Szanowna Redakcyo!

W Nr. 4-ym „Promienia“ w artykule p. t. „Czy organizacye młodzieży mają nosić cechę partyjną?“ czytamy na str. 149-ej następujące zdanie: „Takie np. fakty, jak odmówienie kilku niezamożnym członkom Związku poparcia przez Zarząd Zjednoczenia

(w lecie 1900 r.) przy rozdawaniu stypendyów, toż to przecie coś niesłychanego w stosunkach koleżeńskich, co daje się objaśnić tylko roznamiętnieniem, powstałem po rozłamie."

Ponieważ chcielibyśmy sprowadzić tę sprawę na grunt bardziej faktyczny, rozporządzamy zaś pewną informacyą, która może posłużyć do częściowego jej wyjaśnienia, czujemy się w obowiązku podać ją do wiadomości czytelników. Jestto list, który Zarząd Związku pisał do Zarządu Zjednoczenia dn. 11. VI. 1900 r.

Brzmi on, jak następuje:

„Koledzy! Komisya zarządzająca Związkiem, prosi Was o pominięcie przy ocenie kwalifikacyi kandydatów na stypendya rapperswylskie tych kolegów, którzy są członkami Związku. Powodem, który nas skłania do tego kroku jest fakt, że dokładnych informacyi o tych kolegach dać nie jesteście w stanie, gdyż T-stwa Z-kowe nie mogą Wam być w tym względzie pomocne. Ten sam powód zdecydował nas również do pominięcia w naszej liście członków Z-nia. Prośbę naszą w razie potrzeby zamieniamy na kategoryczne zastrzeżenie się przed tego rodzaju krokiem z Waszej strony. Koleżeńskie pozdrowienie. Za Zarząd Z-ku (Podpis)."

Koleżeńskie pozdrowienie
Zarząd Z-ku P. Mł. P.

BIBLIOGRAFIA.

Karolina Słończewska. Studentki, powieść współczesna. Kraków 1902, 2 tomy 3 K.

Józef Maskoff. Zaszumi las. Lwów 1899 2 t. 6 K.

Chociaż dzieła powyższe nie wyszły jednocześnie, jednak nadają się do wspólnej oceny, gdyż treść ich i wady są jednakie. Oba pisane przez kobiety, oba oparte na najdokładniejszej, jaką można sobie wystawić, nieznajomości (a może raczej — niezrozumienie) przedmiotu omawianego, oba wreszcie pełne dokładnych fotografijek oddzielnych scen, wziętych z natury i jaskrawo odbijających się od tła, absolutnie fałszywego.

P. Słończewska opisuje młodzież genewską (składającą się przeważnie z kobiet, skąd tytuł), p. Maskoff — paryską. W obu tych miastach, jak wszędzie gdzie nagromadziła się pewna ilość

polskiej studenteryi, ścierają się zdania, toczy się walka pojęć, prądów politycznych, partyi i programów. A obok tego, jak na całym świecie, płynie szare, zwykłe życie, z jego małostkami i intrygami, flirtem, pogonią za chlebem i t. p. Otóż pierwsza ta strona życia stanowi dla obu naszych pań powieściopisarek księgę o siedmiu pieczęciach. Widzą one i opisują nawet zebrania, spory polityczne, ale nie domyślają się nawet, co się kryje po za tym młodzieńczym patosem, zapałem, gorącymi przemówieniami i wnioskami, które może mogą się wydawać śmieszne, ale tylko człowiekowi, który ich nie rozumie. Za to obie one z lubością prawdziwą rzucają się na tę drugą, brudną nieraz i niesympatyczną stronę życia i tyle jej miejsca poświęcają, że u czytelnika pozostaje tylko wrażenie wstętu i niesmaku.

Sprawiedliwość każe przyznać, że p. Sł. trochę mniej karykaturalnie przedstawia społeczne dążenia młodzieży od p. M., który jest pod tym względem kompletnym kretynem. Ale myliłby się, ktoby przypuszczał, że znajdzie w jej książce obraz „studentek“, albo choćby tylko studentek genewskich.

Wprost nie rozumiemy, jaka przyjemność może sprawiać autorowi pisanie podobnych książek?

A. W.

MARSZ POGRZEBOWY
NIE OSTATNIĄ PIEŚNIĄ!

Z pieśnią na ustach — a pod połą z morderczą bronią społeczeństwo zaszczepia kulturę. A z posiewu fałsz się rodzi, podstęp, zdrada — i blada śmierć żniwo zbiera.

Byli głodni, biedni byli, światła i chleba dla siebie i dzieci prosili — głodnych nakarmiono kulami, biednych przystrojono wieńcem róż śmiertelnych, ciemnym zapalono pogrzebową świeczkę, spragnionych napojono krwią niewinnie przelaną.

W tym strasznym pogrzebie wzięliśmy udział. Cała młodzież polska okryła się żałobą tą, co przesiąkła dusze skrzywdzonych robotników. To dowód, że zaczynamy żyć życiem właściwem, że mimo różnic i odcieni — cała polska ucząca się młodzież tę straszną odczuła krzywdę, że stanęła razem na grobach z pieśnią: „z kurzem krwi bratniej“ i groby zrosiła łzą, co nie wyschnie...

Imieniem młodzieży zwłoki pożegnali kol. Weisberg i Stroiński.

Społeczeństwo milczy!

Zbrodnia najpodlejsza — a bezkarnie uchodząca — i społeczeństwo milczy. Więc niech milczy nadal, niech z tego milczenia i zbrodni, z grobów ofiar w nas młodych ziarno padnie, niech w nas młodych burzę wznieci, burzę taką byśmy nigdy spokoju nie zaznali, byśmy uciechy nie zaznali, aż do chwili, w której z ofiar kości powstaną mściciele! Niech nam pieśń pogrzebowa gromami w duszach huczy, aż gromami silni padłych pomścimy! Niech nie przebrzmią w nas pogrzebowe dźwięki — aż odezwą się z surmą bojową i grzmotem odwetu...

KRONIKA.

Po demonstracyach ogłoszono na filii szkoły realnej nader ciekawy ukaz. Zabroniono mianowicie uczniom przechadzać się w porze wieczornej po pasażu Mikolasza (zebrała się tam młodzież po aresztowaniu kolegów pod konsulatem pruskim) i ulicy Karola-Ludwika. W maju ogłoszono ten ukaz po raz wtóry, dodając że się zabrania przechadzek »szczególnie młodzieży izraelickiej« pod zagrożeniem wykluczenia z zakładu.

Donoszą nam z Tarnowa. »Buszuje tu u nas jeden bardzo miły pan — prof. Gartner. Wzorowy ten pedagog, urzędujący na filii, aczkolwiek młody, trzyma się bardzo starej metody pedagogicznej: »różdżką duch święty dziateczki bić radzi«, a ponieważ pan Gartner siły ma niepospolite, a różdżka w jego rękach na kij gruby się zamieniła, więc dziateczki niebardzo dobrze na tem wychodziły. Znalazł się w końcu ojciec, którego nie zadowalały zbytnio porozbijane ręce syna, więc udał się do Dr. Leńka, dyrektora filii. Śledztwo podobno rozpoczęte«.

(O p. Gartnerze nie pierwszy raz dochodzą nas podobne słuchy, toteż jeżeli mu obecne rzekome śledztwo nie pomoże, zajmiemy się jeszcze jego cenną osobą.)

Policya a szkoła. Śledztwa, dochodzenia, rewizye przedsiębrane najczęściej bezkutecznie mnożą się coraz więcej. Dzienniki zanotowały fakta zaszłe w gimnazyum tarnopolskiem i przemyskiem, które naprowadzają na słuszny domysł, że władze szkolne stoją w ścisłem porozumieniu z policyą. Odkładając szczegółowe omówienie tych pedagogiczno-policyjnych praktyk do następnego numeru psosimy na tej drodze wszystkich kolegów, aby o wypadkach tego rodzaju natychmiast nas powiadamiali, a my użyjemy wszystkich sił i sposobów, aby tej podłości i bezprawiu raz na zawsze kark ukręcić.

U antypodów galicyjskiego szkolnictwa — w Brzeżanach, dzieją się również dziwa, o jakich się może... Bobrzyńskiemu nie śniło.

Kiedy luminarz tej światłodajni ks. kan. Hochecker wyjeżdżał do Rzymu na pielgrzymkę, dał do zrozumienia wszystkim uczniom, że należałoby jego (księdza H.) poprosić o papieskie błogosławieństwo. I rzeczywiście wszystkie klasy, prócz jednej, błagały czcigodnego o »memento«.

Wówczas Hochecker wysłał do owej opornej klasy katechetę gr. obrz., aby ten uczniów do próśb nakłonił. Niestety i to nie pomogło, mimo że poczciwy wysłannik darował całej klasie godzinę nauki, aby mogła wysłać do ks. H. deputacyę.

Pomijamy inne podobne kawałki, zacytujemy jeszcze tylko gwoli rozweselenia ustęp z wykładu psychologii Dr. Tomasza Garlickiego: »pada! jak człowiek ma tęgi aparat, to może żyć przez całe życie...«

I tacy ludzie mają pretensye do zaufania i poważania u młodzieży!

W Buczaczu niemiłą miał przygodę katecheta tamtejszy ks. Ścisłowski. Pewnego wieczora wszedł do restauracyi szukać czy się tam przypadkiem nie zabłąkał który z uczniów. Gdy gospodarz lokolu sprzeciwił się takiemu szpiegowaniu swego domu, ks. Ścisłowski nabeszał go i zagroził, że się postara o odebranie koncensu szynkarskiego. Zanim jednak do tego przyjdzie, rozgniewany restaurator odebrał księdzu katechecie konsens szpiclowski doraźnie wyrzucając go za drzwi.

Nagonka ze wszystkich stron na »Promień« i jego zwolenników doszła w ostatnich czasach do ostatnich granic. Policya i jej ekspozytury, dyrekcye gimnazyalne, wypuściły ze smyczy najbardziej szczwane ogary o najsubtelniejszym policyjnym węchu, aby wywąchać gdzie jest źródło ruchu wśród młodzieży. Z prowincyi donoszą nam z najrozmaitszych stron, że pomiędzy młodzieżą grasują szpicle w postaci ajentów policyjnych, nie tak jednak niebezpieczni jak owi w skorupach »opiekunów« i »ojców młodzieży«. Dlatego też specyalnie teraz zwracamy się do naszych czytelników, aby się mieli na baczności, bo »argusowe oko« stróżów ładu i porządku, gasicieli swobody i wszelkiego ruchu, czułą otacza nas ciągle opieką.

Nie dajemy się jednak tem odstraszyć, czerpiąc w tem raczej natchnienie do walki, nabierając hartu i spiżowej wytrwałości na później.

Walne Zgromadzenie Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych odbyło się w Krakowie podczas Zielonych Świąt. Na porządku dziennym była między innemi sprawa biblioteki i czytelń dla młodzieży.

W następnym numerze pomówimy obszerniej o referatach i uchwałach zjazdu delegatów profesorskich z całej Galicyi, dziś podnosimy tylko ten fakt, że przeświadczenie o potrzebie kształcenia się poza ciasnym programem nauki szkolnej, o czem piszemy już rok czwarty, przenikło nareszcie nawet do warst nauczycielskich.

W Buczaczu zmarł jeden z najdzielniejszych tamtejszych »promienistych«, gorący zwolennik naszego pisma i wogóle postępowych i rewolucyjnych idei, kol. Stanisław Kwiatkowski. Koledzy z Buczacza proszą nas o zaznaczenie w ukochanem piśmie zmarłego tego smutnego faktu, dodając, iż mylił się ks. kanonik Gromnicki, podnosząc zalety kol. ś. p. Kw. dlatego, że on miał iść na księdza, gdyż kol. Kw. był zawsze zdecydowanym wrogiem klerykalizmu i kleru.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Koledzy w T. żaliliście się że niektórzy z Waszych Kolegów gorszyli się pieśnią „Gdy naród do boju“, powiedzcie im, że uczciwy Polak i demokrata powinien gardzić i gardzi tą garścią królewiąt, co przed wiekiem sprzedała ojczyznę za garść złota, a dziś nie waha się wypierać przez swoich przedstawicieli „zdrajców stanu“ z 63. roku.

Komisya Wydawnicza U. L. w Krakowie. Brak miejsca nie pozwala nam drukować nadesłanego utworu w tym numerze. Odpowiadamy listownie.

Autorowi „Jednodniówki studenckiej“ w zaborze pruskim. Otrzymaliśmy rękopis, ale oddawca nie mógł nas poinformować, ani od kogo rękopis pochodzi, ani też kto ma łożyć na pokrycie kosztów wydawnictwa, ile egzemplarzy drukować, co z nimi później zrobić i tp. Prosimy o śpieszne zniesienie się z nami.

POKWITOWANIA.

Na gimnazyum w Cieszynie. Wyższe klasy gimn. św. Anny w Krakowie Koron 5·20.

Na fundusz zwrotu 200 rb. Twu. Słowiańskiemu w Moskwie złożyli w dalszym ciągu Kamyk z Zurychu 1 fr. — Koledzy z Sanoka 6 k. — Wanda 30 cent.

Na fund. „Promienia“ Kol. z Sanoka 4 K., podgórska szkoła normalna 20 h.

OD REDAKCYI.

Równocześnie z ekspedycyą czerwcową wysyłamy rachunki za II. kwartał z usilną prośbą o wyrównanie ich przed końcem czerwca.

Kolegów z zachodniej Galicyi prosimy o podanie nam adresów, abyśmy im mogli przesłać numer lipcowy.

Są do nabycia wydawnictwa »Promienia«:

Amicis: O kwestyi społecznej	cena 20 hal.
Szymon Konarski	„ 30 „
Kółkowicz: Przyczynek do historyi ruchu wśród młodzieży polskiej w zaborze rosyjkim	„ 20 „

Przy zamówieniu pojedynczych egzemplarzy dopłaca się na porto 4 hal.

Nadto Roczniki **„Promienia“** (I, II, III) o ile zapas starczy w cenie 3 K. za rocznik.

Wszystkich naszych współpracowników i korespondentów zawiadamiamy, że zmuszeni jesteśmy, dla względów technicznych, cofnąć datę zamknięcia numeru i że odtąd będziemy numery zamykać **dwudziestego** każdego miesiąca.

Przy sposobności ponawiamy prośbę o pisanie tylko po jednej stronie papieru z marginesami i na arkusikach jednakowej wielkości.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Kachnikiewicz Janusz Stanisław.**

„Drukarnia Udziałowa“. Lwów, Lindego 8.